



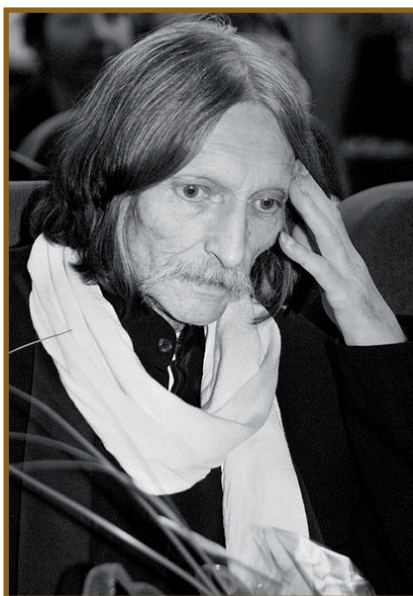
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Ubrany na czarno, z długimi włosami i białym szalem, poeta Kazimierz Furman przemierzał ulice Gorzowa. Był jedną z najważniejszych i najbarwniejszych postaci w tym mieście. Odszedł w wieku 60 lat, rano 14 października 2009 r.

DRUGA ROCZNICA

Jako poeta zadebiutował w zielonogórskim „Nadodrzu”. Miał na swoim koncie 12 tomików poezji, z których przynajmniej połowa była uzupełniona o kilka utworów wersją poprzedniego. Ostatni taki wybór, wydany w roku śmierci poety, nosił tytuł „Brzemień”. Okazał się Jego testamentem. Otrzymał za ten tom na inauguracji sezonu artystycznego nagrodę kulturalną prezydenta Gorzowa w postaci rzeźby kolorowego motyla i bardzo mu potrzebnej „koperty”. Był już wtedy bardzo chory. Poruszał się z trudem i bólem. Rak zabił go dwa tygodnie później... Pochowaliśmy Go przy Żwirowej w Alei Zasłużonych, obok Zdzisława Morawskiego, którego Kazik był nie zawsze wdzięcznym i pilnym uczniem. Trochę outsider, buntownik, człowiek niepokodzony ze światem. Całe swoje życie balansował na granicy egzystencji, bo chciał żyć jak poeta.

I żył. Trochę razem z gorzowską bohemą, a trochę osobno. Gdy w 2004 r. w Gorzowie powstawał Oddział ZLP, zaproponowałem mu wstąpienie do związku. Chyba czekał na tę ofertę, bo z minimalnym oporem szybko złożył potrzebne dokumenty z podaniem, życiorysem i zdjęciem. Komisja Kwalifikacyjna ZG ZLP, bez stażu kandydackiego, na podstawie dorobku twórczego, wpisała go do grona członków założycieli gorzowskiego Oddziału. Był nawet skarbnikiem w Zarządzie pierwszej kadencji. Ale i tu często zaznaczał swoją osobność, ponieważ wierząc mniej od siebie utalentowanych, zwłaszcza poetessy. Poezja była dla niego sposobem życia, uważał, że wszyscy, którzy piszą, ale z pisania nie żyją, to są nie twórcy, a pacjenci poezji, bo piszą wiersze „terapeutyczne”, którymi leczą swoje marne życie. On pieniądze miał z pisania, zarabiał je na konkursach literackich. Jeździł na nie, bo



Kazimierz Furman

Źródło

Wytrysnęło

Z głębokiego poklonu nad kartką

Chłodne jak kryształ

Łzy oszlifowane płakaniem

Przelewało się między

spojrzeniami

W kałamarz

W pióro

Słowo najpierwsze

Upadło na papier

Z nieba głowy

Tak poeta stworzył Boga

Pisze wiersze

Licho nie śpi

Marek Grewling

PARADOKS

Zamysł felietonu był następujący: rzecz miała dotyczyć pary ostatnich panujących władców Wszechrosji – Mikołaja Aleksandrowicza Romanowa i jego cesarskiej małżonki Aleksandry Fiodorowny Romanowej de domo Alicji Wiktorii Heleny Beatrycze Hessen-Darmstadt, przez najbliższych nazywanej Alix. Była to jedyna wśród panujących u schyłku belle époque para władców, dodajmy na marginesie – absolutnych, która zażywała prawdziwego szczęścia małżeńskiego i rodzinnego. Nawet ciężkie doświadczenie, jakim był chory na hemofilię ich syn Aleksiej, nie było w stanie zakłócić małżeńskiej harmonii, którą po dzień dzisiejszy można stawiać za wzór żyjącym współcześnie pod wspólnym dachem żonom i mężom. Ciekawostką jest, że Nicky – jak zwracała się do cara małżonka – oraz Alix byli jedyną parą panujących w ówczesnej Europie, która notorycznie noce spędzała we wspólnej sypialni i w jednym łóżku. Ich listy stanowią po dziś dzień kopalnię wiedzy o głębi uczucia, jakim darzyli siebie niezależnie od sytuacji, problemów i kłopotów. Epistolografia miłosa tego małżeństwa budzi podziw dla stałości uczuć carskiej pary. Tak było od dnia hucznych zaślubin w 1894 roku do tragicznego końca obojga małżonków zamordowanych wraz pięciorcem dzieci przez bolszewików w piwnicy domu kupieckiego w Jekaterynburgu 17 lipca 1918 roku. Jednak niezależnie od przymiotów małżeńskich Mikołaja i Aleksandry historycy surowo oceniają ich panowanie. Jakość moralna miała się nijak do kwalifikacji politycznych obojga. Alix, owładnięta manią religijną, w najdrobniejszych sprawach Imperium radziła się fałszywego proroka, „świętego męża” – Rasputina. Była przekonana, że moralność zapewni szczęście władztwu jej męża. To dlatego oboje popełniali tak straszne błędy zewnątrzpolityczne, wewnątrzpolityczne i w końcu militarne,

Uroki młodości – uciechy starości

„Pegaz” miał wyjść przed wyborami, ale z powodu zaproszenia Waszego redaktora, jako że jeszcze bywa czasami poetą, na XL Międzynarodową Warszawską Jesień Poezji, zdecydowałem krótko: jadę do stolicy. „Pegaz” poczekał. Poetów tam każdego roku jest mniej, bo w ZLP bieda piszczy. Koszty podróży zwracają tylko w jedną stronę – może prowincja zasili stolicę w nową, czerwoną krew, jako że ostatnio dużo poetów opuszcza ten padół, z powodu głodu, chorób i starości... By wyjść temu naprzeciw, jedno ze stu spokań autorskich, w ten przedwyboczy wieczór miało tytuł „Uroki młodości – uciechy starości”. Się okazało, że ze starych poetów tylko ja i gość festiwalu z Danii mieliśmy na temat uciech coś do powiedzenia. Ja, dlatego, że wciąż jeszcze kocham życie, on teoretycznie, bo filozofem był, ale też niezgorszym poetą. Młodzi poeci stawili się tłumnie, uzbrojeni w koperty z pieniędzmi za nagrody na Turnieju Jednego Wiersza i pokazali, że z uciech starości też potrafią korzystać, natomiast z uroków młodości ciągle jeszcze nie, bo ich wiersze smutne jakieś i bardzo mądre były.

Po ucztach dla ducha w szkołach i w domach z kulturą, skromny obiad i piwo „literackie duże” za 4 zł. Od razu się inaczej na Warszawę patrzy. W maju straszły wszędzie dźwigi i rusztowania, teraz też ale stadion już zachwyca, pięknie podświetlony, jak nasze gorzowskie bulwary. Bo my też nie wypadliśmy sroce spod ogona. Filharmonia, nowe fontanny i pomniki. Co rusz ich, dzięki sponsorom i rzeźbom Andrzeja Moskaluka, przybywa. Ostatnio zdjęto szarfę z siedzącego na myśliwskim sołęczku z brązu, pierwszego w Gorzowie członka ZLP, Włodzimierza Korsaka. W pisarza-myśliwego przenikliwie patrzy wierny pies.

My w „Pegazie” też mamy dwa akcenty międzynarodowe. Co prawda 90. letni Jubilat, o którym pisze Błażej Kaźmierczak, na Viadrinie tryskał energią, ale bliższa ciału koszula – Leszek Bończuk był na promocji przełożonej na język niemiecki przez Karin Wolf książki Papuszy.

A w numerze ponadto, jak zwykle, sporo nowych utworów gorzowskich poetów. Szczególnie polecam piękne poezje moich przyjaciół z Polski, przywiezione z Warszawskiej Jesieni, a także satyrę, którą po wizycie na moim jubileuszu znów zaczęły uprawiać szczecińskie „Wyrodki”. Witamy ich również na promocyjnym wieczorze 3. numeru „Pegaza”. Wyszło w międzyczasie parę niezłych książek, które trzeba było omówić. Nie starczyło miejsca na Interdyscyplinarne Warsztaty w Garbiczu – konsultant Leszek Żuliński rozpiął się w internecie niemiłosiernie. Bez prasy przeszedł II Wartal. Organizatorzy-literaci udają, że zapomnieli „pióra w gębie”. A poza tym Beata Klary dalej kosi nagrody, czasem także Karol Graczyk, ale już mniej spektakularnie. Widać przechodzi moda na „cudzy(e)słowa” i cytaty. Anna Strzelec zabrała się za felieton, dostała stronę przedostnią, Gąsior wrócił z rowerowej wyprawy do „republik” północnych – ma chłop zdrowie! A Kazik dwa lata jak nie żyje... Zdzisław Morawski – książę poetów – już dziewiętnaście...

Na koniec chciałbym życzyć naszym związkowym kolegom zza południowej między pięknego jubileuszu – 50-lecia istnienia w Zielonej Górze naszej organizacji pisarskiej. Przyjedziemy z kwiatami i winem domowym. Mojej roboty.

Ireneusz K. Szmidt

cd. ze str. 1

że ich imperium musiało runąć, choć wcale nie musiało tak się stać. Wybitni ministrowie i reformatorzy byli zwalniani, gdyż nie spełniali (w oczach Rasputina i carycy) kryteriów „dobrych chrześcijan”. W ten sposób skutkiem odniesień moralnych zaprzepaszczonej jedyną w swoim rodzaju okazję reformy Imperium. Postawa polityczna cara wobec ościenych władców zależała od czułych listów żony, która pod wpływem impulsu religijnego podpowiadała mu najczęściej najgłupsze z możliwych rozwiązań. W ten sposób carska rodzina panująca w Rosji zraziła do siebie resztę Europy, co w skutkach okazało się tragiczne dla Romanowów. Wojna Rosji i Japonii została przegrana z kretesem ze względu na uwiad monarchii zapatrzonej (Mikołaj i Aleksandra oczywiście) w wartości transcendentalne, które nijak się nie przekładały na polityczną rzeczywistość. Później rewolucja 1905 roku – przez fiksję średniowiecznej religijności, obyczajowości i wyobrażenia o rządzeniu zaprzepaszczonej szansa stworzenia nowoczesnej monarchii. Wielka Wojna (I wojna światowa) też oczywiście przegrana przez cara. Czego jednak można było oczekiwać od wodza, który dwie udane ofensywy przerwał na prośbę małżonki: „Nie przelewajmy już chrześcijańskiej krwi”. Zdrada? Głupota? Raczej głupota łamana przez kruchtę i konfesjonał. Rzecz sama w sobie frapująca i przywołująca – niestety – odniesienia do naszych dni. Nie trzeba mylić mądrości politycznej z moralnością... jakkolwiek, wiedzieli o tym wielcy twórcy imperiów od Karola Wielkiego począwszy, a na ostatnich wielkich skończywszy. Mali musieli niestety odejść do praocjów niezależnie od osobistej cnoty. Wyraźnie opisał to Robert K. Massie w klasycznej już pozycji „Mikołaj i Aleksandra”.

W dalszej części planowanego felietonu należało postawić tezę, że moralność ma się nijak do skuteczności politycznej oraz do dobra państwa i narodu, dla którego należy wręcz poświęcić zasady. Zresztą nie byłoby to zbyt odkrywcze, wszak historia zna wiele dowodów na potwierdzenie tej tezy. Na koniec felietonu smakowite nawiązanie do współczesnego nam kontekstu politycznego, do wyborów, opcji, zasad, wiarołomności, dwulicowości, póź... Taki felieton jednak nie powstanie. Powodów jest kilka.

Podam najważniejszy. Otóż Magdalena Grzebałkowska napisała biografię księdza Jana Twardowskiego „Książę Paradoks”. Na 336 stronach ukazuje odbrązowiony, lecz bynajmniej nie zbrukany życiorys wielkiego poety i kapłana – a to, że był kapłanem dodaje niesamowitej pikanterii całej historii. Grzebałkowska bynajmniej nie strąca z piedestału, jak to najczęściej w polskim obyczaju. Grzebałkowska zdejmuje – owszem – z piedestału księdza poetę, ale miast pastwić się nad tym wszystkim, czym ludzka natura w Twardowskim zaowocowała tak in plus, jak in minus, pochylała się po ludzku, po człowieczemu (a może wręcz po Bożemu?). To jest lektura dla Polaka. Przepraszam za eufemizm, ale może przed wydarzeniami politycznymi, jakie są aktualnie przed nami, należałoby przeczytać z uwagą tę książkę – n.b. napisaną ze swadą, lecz obcą zupełnie jakże modnym nurtom rozliczeniowym?

Właśnie, ów rozliczeniowy nurt budzi nieco lęku. Otóż hebrajskie słowo SATAN oznacza kłamcę, ale też oskarżyciela zarazem. Nawiasem mówiąc, ciekawe, ilu współczesnych „oskarżających” ma tego świadomość? Łatwo byłoby autorce monografii o Księdzu Paradoksie policzkować poetę z wielu stron i pod wieloma zarzutami. Bo rzeczywiście można takie stawiać. Tylko po co przywoływać to wstydlive

cytowane wyżej hebrajskie słowo? Owszem, zdjęła z piedestału Księdza Jana – poetę, kapłana, człowieka. Zdjęła z piedestału; i bardzo dobrze, bo na piedestale poecie zawsze źle, a szczególnie źle jego dziełu, które staje się wtedy abstrakcją oderwaną od twórcy. Autorka pokazała księdza Jana Twardowskiego jako człowieka w całym wymiarze człowieczeństwa. Jawi mi się w tym momencie scena ewangeliczna, gdy Chrystus z krzyża woła w rozpacz: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił”. Teologia biblijna wyjaśnia, że to zdanie, obnażające ludzką tragedię Jezusa z Nazaretu, potwierdza dogmat o prawdziwym człowieczeństwie „Boga-Człowieka”. Prawda, że inteligentna konstrukcja? Wracając do Księdza Paradoksa, tytuł jest świetnym odzwierciedleniem ludzkiej natury, a zarazem puklerzem przeciw tym, co tak chętnie rzucają kamieniami na lewo, prawo i do środka – żeby było „sprawiedliwie”. A tu propozycja autorki, żeby nie mitologizować, żeby ukochać człowieka. Bez stawiania warunków, osądzania i skazywania. Propozycja – powiem patetycznie – humanitarna. Wartość i mądrość tej lektury polega na tym, że autorka życiorysu ks. Twardowskiego zdejmując z piedestału poetę, kapłana i człowieka ukazała nam księdza Jana Twardowskiego – człowieka, poetę i kapłana.

Czytałem już różne recenzje tej książki. Wielu się nie spodobała. Cóż... „kto z was jest bez grzechu niech pierwszy rzuci kamieniem”, w ks. Jana, w Grzebałkowską. We mnie też można.

Marek Grewling



Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie; red. nacz.: Ireneusz K. Szmidt, tel. kom. 501 520 227, tel/fax 95 729 50 80; sekretarz: Danuta Zielińska; współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary; zdjęcia: I. K. Szmidt, Z. Olchownik, archiwa wydawcy i autorów. Projekt okładki: Zbigniew Olchownik. Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP w Gorzowie, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp. e-mail.zlp.gorzow@wp.pl; e-mail.i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp.gorzow.prv.pl; Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt.

Roman Habdas Niektórzy mają bardzo głębokie dno oka

Pokora otwiera wrota katedr, najmniejszych kościołów drzwi. Znajduje cierpliwość konfesjonau i nie żaluje.

Przewin jest więcej niż Dziesięć Przykazań. Wystarczy spojrzeć bodaj w rzekę własnych nieprawości. Wyłyną z głębi oka tratwy belek. Wprost, w lustro. Sumienia nie oszukasz.

Żdźbła też opadają na dno. Potrafią pęcznieć bez uwierania tylko do pewnego czasu. Później się nie da. Przychodzi lzwawienie.

A On przebacza nawet łotrowi.



Cisza tak wiele mówi

Staszкови, który odpłynął...

Miałeś dokończyć zaczęty spływ, wrócić nad Paklicę. Kilwater pozostawiony na wodzie ciągle czeka. Canoe w szopce między ogrodami i Twojej matki oczy utkwione w pagaju.

Cisza uderza. Uczepiony Ewangelii popłynę sam, a On wskaże gdzie rzucić zanętę słowa, gdzie myśli błysk o znaku ryby. Na kolowrotku różańca poszukam dla Ciebie tajemnic.

Stoimy, na dwóch brzegach. Każdy z nas widzi więcej. Ty wiesz już wszystkim.

cd. ze str. 1

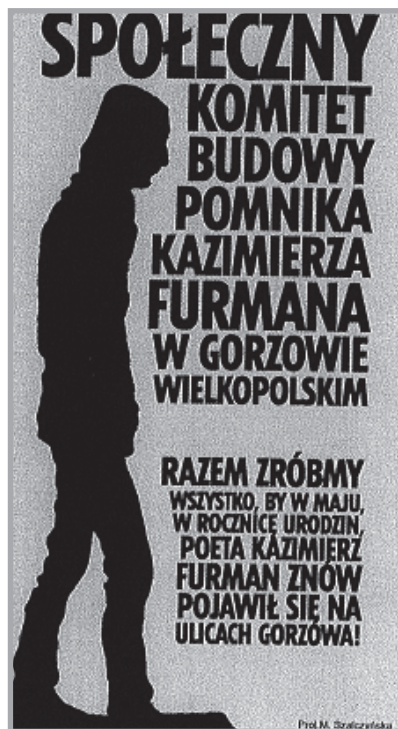
oprócz zdobytej nagrody miał zapewniony bilet, hotel na kilka dni i wyżywienie. Wykorzystywał takie okazje.

Kazik Furman był bezkompromisowy dla siebie, ale i dla innych. Dlatego nie potrafił wykształcić poetów, nie miał swoich uczniów. Miał ostry stosunek do piszących. Potrafił zniechęcić do bawienia się w pisanie. Ale był dobrym towarzyszem do rozmów przy piwie o sztuce i poezji. W dniu imienin, 4 marca, zawsze zbierało się za dużo osób w jego jednopokojowym mieszkaniu nad sklepem monopolowym przy Kosynierów. Nie tylko wiersze pisał, także prozę. W dorobku pozostawił kilka nowel i opowiadań, które po wygranych konkursach literackich drukowane były w prasie i antologiach, ale nigdy nie wyszły w osobnej książce. Nosiłem się z zamiarem wydania takiej książki, namawiałem go, żeby zebrał rozproszone utwory, ale ciągle powtarzał, że nie ma czasu, ma to w komputerze, ale trudno mu się do tego zabrać. Choroba także mu w tym przeszkadzała.

W ubiegłym roku przyjaciele Kazika ufundowali mu popiersie, które stoi dumnie w hallu księżnicy. W bieżącym, przyjaciele, których jest coraz więcej (!), zbierają pieniądze na pomnik i walczą z prezydentem i jego urzędnikami o przyznanie Aldonie – jego córce prawa do mieszkania po ojcu w zamian za opiekę (muzealną?) nad jego spuścizną.

W październiku przyszłego roku minie 20 lat od śmierci Zdzisława Morawskiego – księcia poetów. Gorzów nie powinien zapomnieć tej daty. Ciągłe jeszcze skwer przy Empiku, którego zieleń łagodziła mu zmęczone od pisania oczy, ani zaułek na zapleczu Chrobrego, przy którym mieszkał, nie noszą jego imienia. Przyjaciół poety jest coraz mniej. Nie uzbierają pieniędzy na pomnik. Przy stoliku nr 1 pozostał już tylko jeden. Może miasto...?

**Ireneusz
K. Szmidt**



Wszystkich, którzy przybyli 6. 09. 2011r. do Jazz Clubu „Pod Filarami” w związku z Apellem do Pana Prezydenta Miasta Gorzowa – w sprawie ustanowienia Aldony Furman kustoszem muzeum życia i twórczości jej Ojca – Kazimierza Furmana, witała muzyka gorzowskiego zespołu „Żółte kalendarze”. Treść Apelu przybyłym gościom odczytał Andrzej Trzaskowski. W miłej klubowej atmosferze Andrzej wraz z Januszem Dreczką i Elżbietą Kuczyńską wspominali Kazimierza Furmana. Bogusław Dziekański – gospodarz Klubu – mówił o tym, co już osiągnął Społeczny Komitet Budowy Pomnika Kazimierza Furmana w Gorzowie. W trakcie spotkania wystąpiła na scenie z pięknymi poetyckimi piosenkami Elżbieta Kuczyńska. „Żółte kalendarze” śpiewały utwory do tekstów Kazimierza Furmana. Goście i przyjaciele poety podpisali Apel, który został przekazany na ręce Krystyny Sibińskiej – przewodniczącej Rady Miasta. Tak jak zapowiadali organizatorzy, było poetycko, były piosenki z jego tekstami, było wspominkowo. Jeśli ktoś chciałby dorzucić grosik do budowy pomnika gorzowskiego poety Kazimierza Furmana, może to uczynić osobiście w Jazz Clubie „Pod Filarami” przy ul. Jagiełły 7 lub na nr konta Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Kazimierza Furmana 04 8363 0004 0024 0002 2000 0003.



*Jubileusz 90. urodzin
Karla Dedeciusa*

**COLLEGIUM POLONICUM
w hołdzie mistrzowi przekładu**

Błażej Kaźmierczak

W dn. 16-17 czerwca b.r. odbyły się dwudniowe uroczystości dedykowane wybitnemu tłumaczowi literatury polskiej na język niemiecki, Karlowi Dedeciusowi. Zorganizowane zostały przez Collegium Polonicum w Słubicach oraz Wydział Kulturoznawstwa Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, zaś ich bezpośrednim motywem była dziewięćdziesiąta rocznica urodzin tłumacza.

Pierwszego dnia, zgodnie z zamiarem organizatorów, odbyła się w Collegium Polonicum (będącym placówką wspólną UAM i E-UV) część urodzinowa dwudniowego święta cyklu. Karl Dedecius przywitany został w dużej auli przez JM prezydenta Uniwersytetu Europejskiego, dra Günтера Pleugera. Całość moderował dyrektor placówki, dr Krzysztof Wojciechowski. Laudatio z okazji dziewięćdziesiątych urodzin Karla Dedeciusa wygłosiła Cornelia Pieper, wiceminister spraw zagranicznych i pełnomocnik rządu niemieckiego ds. stosunków z Polską. Kolejnym punktem programu były życzenia od przyjaciół i przedstawicieli świata polityki, nauki i kultury. Przemówili m.in. prorektor UAM, prof. Jacek Witkoś, minister nauki Kraju Związkowego Brandenburgia, prof. Sabine Kunst, konsul generalny RP w Monachium, Elżbieta Sobótka oraz prof. Krzysztof A. Kuczyński (JM rektor PWSZ we Włocławku/UŁ), będący najbardziej zasłużonym badaczem twórczości darmsztadzkiego przekładowcy. Uroczystości w Collegium Polonicum zakończył wieczór autorski Karla Dedeciusa, w trakcie którego czytał on własne tłumaczenia wierszy polskich poetów.

Dzień później w sali senackiej Uniwersytetu Europejskiego Viadrina miała miejsce gala nadania tytułu doktora honoris causa słynnemu tłumaczowi. Uroczystość wzbogaciły m.in. przemówienie dziekan Wydziału Kulturoznawstwa Viadriny, prof. Konstanze Jungbluth oraz laudacja wygłoszona przez prof. Bożenę Chołuj (E-UV/UW). Po jej zakończeniu nastąpiło otwarcie Interdyscyplinarnego Centrum Badań Polskoznawczych.

Karl Dedecius urodził się 20 maja 1921 r. w Łodzi. Jako syn spolonizowanego urzędnika niemieckiego pochodzenia, całą drogę swej edukacji, aż do egzaminu maturalnego w maju r. 1939, odbył w polskiej szkole. W kilka miesięcy po zdanej maturze wybuchła wojna.



Do 1942 r. udawało się młodemu, nastawionemu pacyfistycznie żołnierzowi, wychowanemu w atmosferze przyjaźni z Polakami, Rosjanami i Żydami, unikać bezpośredniej walki. Latem 1942 r. Dedecius wraz z kolejną z napływających tu fal wojska stanął „u wrót” Stalingradu. W bitwie stalingradzkiej brał udział do końca. W lutym 1943 r. trafił do sowieckiej niewoli, w której pozostał aż do r. 1949. Tam też nauczył się języka rosyjskiego i rozpoczął tłumaczyć rosyjskojęzycznych twórców.

Po powrocie do Niemiec Karl Dedecius osiadł na dwa lata w Kranichfeld koło Weimaru, znajdującym się wówczas pod okupacją sowiecką. Odczuwając ideologiczny ucisk, po dwóch latach opuścił NRD.

Po wyjeździe do Republiki Federalnej znalazł zatrudnienie w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Allianz, osiadając z czasem we Frankfurcie nad Menem. Tak miało być przez następne dwadzieścia pięć lat. Po ukończeniu pracy Dedecius rozpoczął budowę własnego „terminalu kulturowego” pomiędzy Polską a Niemcami Zachodnimi. Mniej więcej z nastaniem okresu „odwilży” w Polsce nawiązywać zaczął pierwsze kontakty z polskimi literatami. Niebawem zaczęły się ukazywać jego pierwsze tłumaczenia, drukiem wyszły antologie „Lektion der Stille” i „Leuchtende Gräber”. Pierwszy raz przybył do Polski w 1959 r. Karl Dedecius poznał wielu polskich twórców i uczonych. Odwiedzając Polskę zawarł znajomość m.in. z Wyką, Lecem, Iwazskiewiczem, Przybosiem, Miłozsem, Herbertem, Różewiczem, Szyborską.

W 1977 r. tłumacz zaprezentował gronu zachodnioniemieckich prominentów plany stworzenia instytutu zajmującego się kulturą polską, w tym głównie literaturą. Niemiecki Instytut Kultury Polskiej w Darmstadt powstał dwa lata później.

Karl Dedecius pełnił funkcję dyrektora instytutu przez blisko dwie dekady. Działania tej niebywale aktywnej stacji naukowej odbijały się szerokim echem. Projekty zorganizowane z największym rozmachem to przede wszystkim redagowane przez dyrektora „Deutsches Polen-Institut” pięćdziesięciotomowa seria „Polnische Bibliothek” oraz złożona z siedmiu grubych tomów „Panorama der polnischen Literatur”. Rozra-

stający się instytut wymagał jednakże od swego założyciela coraz większego nakładu pracy administracyjnej. Dedecius nadal wiódł „podwójne życie”, poświęcając na tłumaczenie wolne dni i wieczory.

W tym czasie tłumacz nawiązał szereg nowych przyjaźni z polskimi twórcami, takimi jak Barańczak, K. Brandys, Jeleński, Czapski. Jeszcze w trakcie pracy w Allianz sphywać zaczęły na translatora liczne zaszczyty: m.in. Nagroda Księgarzy Niemieckich, doktoraty honorowe uczelni z Polski i Niemiec. Już po zakończeniu swej działalności w Niemieckim Instytucie Kultury Polskiej otrzymał Dedecius Order Orła Białego.

Po przejściu na emeryturę w r. 1998 nadal kontynuuje swoje prace polonistyczne w zaciszu prywatnego gabinetu. Nieobciążony obowiązkami administratora zmagają się z kolejnymi strofami wierszy polskich poetów. Przekłady Dedeciusa to dana Niemcom możliwość zrozumienia słowa, kultury bliskiego sąsiada. Polakom „poezja Dedeciusa” daje wiarę w to, że są w Europie Zachodniej obszary, gdzie polskość ma szansę być rozumiana. Translator znad Menu tak samo bezbłędnie przekłada przesłanie J. Tuwima, jak i K.K. Baczyńskiego czy T. Gajcego, wdziera się w dusze poetów tak różnych, jak Lec, Iwaszkiewicz, Miłosz, Różewicz i Herbert, bezbłędnie rozpoznaje różne odcienie polskości.

Oprócz działalności jako tłumacz poezji polskiej jest Dedecius również autorem dużej liczby książek eseistycznych. Warto przytoczyć kilka tytułów, takich jak choćby „Deutsche und Polen”, „Botschaft der Bücher”, „Überall ist Polen”, „Vom Übersetzen” bądź „Lebenslauf aus Büchern und Blättern”. Wiele spośród tych opracowań stanowi ciekawe studium z historii polskiej literatury, są one pozycjami niezbędnymi dla niemieckojęzycznych uczonych i krytyków zajmujących się kulturą Polski.

Jedną z instytucji współorganizujących ważne dla obu uczelni obchody dziewięćdziesięciolecia było Archiwum Karla Dedeciusa przy Collegium Polonicum. Archiwum powstało w r. 2001, kiedy jubilat przekazał Bibliotece Uniwersytetu Europejskiego Viadrina całość swych prywatnych zbiorów aktowych. Swą siedzibę znalazło ono w Collegium Polonicum w Ślubicach, gdzie złożone zostało jako depozyt stały.

Placówka angażuje się w inicjatywy muzealne, podejmuje się organizacji konferencji naukowych, współwydaje „Rocznik Karla Dedeciusa” oraz periodyk „OderÜbersetzen”. Jednym z dalszych, licznych dowodów działalności naukowej Archiwum jest jego udział w serii „Scripta Caroli Dedecii”. Zgodnie z zamierzeniami władz uniwersyteckich, Archiwum Karla Dedeciusa przeistacza się obecnie w instytucję o szerszym polu działania, na jego podstawie powstaje centrum tłumaczeniowe. W ten sposób zbiór „Europejczyka z Łodzi”

ma stać się kamieniem węgielnym pod budowę nowoczesnej instytucji naukowo-badawczej imienia wielkiego tłumacza.

Podsumowując uroczystości poświęcone przekładowcy z Frankfurtu nad Menem można stwierdzić, że uroczystości jubileuszowe przebiegły niezwykle pomyślnie. Atmosfera panująca w Collegium Polonicum i na Uniwersytecie Europejskim była nie tylko wzniosła, lecz niejednokrotnie również wzruszająca. Z wieloma z przybyłych osób oraz przede wszystkim z samym Collegium Polonicum – ab urbe condita – łączą tłumacza silne więzy. Karl Dedecius uczczony został w sposób godny czołowego ambasadora kultury polskiej w kraju naszego zachodniego sąsiada. Celem organizatorów było, aby przede wszystkim uhonorowany mistrz translacji – sam słynący z doskonałej organizacji – opuścił polsko-niemieckie pogranicze w pełni zadowolony z obchodów jubileuszu oraz z otrzymanego lauru. Pozostają oni w nadziei, że tak właśnie było...

Błażej Kaźmierczak

Ślubice



Błażej Kaźmierczak (ur. w 1979 r., w Poznaniu) – historyk-niemcoznawca, menadżer kultury. Od roku 2004 kieruje Archiwum Karla Dedeciusa przy Collegium Polonicum w Ślubicach (Karl Dedecius Archiv in der Bibliothek der Europa-Universität Viadrina Frankfurt (Oder)). Organizator ekspozycji muzealnych i konferencji naukowych. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Orbis Linguarum” i „OderÜbersetzen” oraz w wydawnictwach Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, Uniwersytetu Łódzkiego oraz Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Współsekretarz naukowy periodyku „Rocznik Karla Dedeciusa”, „Dedeciana – tłumaczenie – recepcja”, oficjalny bibliograf Karla Dedeciusa. Autor książki „Dzieła Karla Dedeciusa. Wybór bibliograficzny adnotowany” / „Werke von Karl Dedecius. Annotierte Auswahlbibliographie” (2009), współredaktor tomu „Niezatarte świadectwo... Życie i dzieło Henryka Bereski” / „Das schwer verwischbare Zeugnis... Leben und Werk von Henryk Bereska” (2010).



Roman Karwacki

Zaróżowiony

Chwałę różę za milczenie,
za wierność każdemu spojrzeniu,
za miłość do słońca, do rosy, do wieczorów
błogich, chwil odpoczynania.

Chwałę różę za uczucia, które mi przynosi,
w kolorach róży zmieniam moją duszę,
w zapachu róży przywracam banałom
ich dawną chwałę szczerego zachwytu.

Chwałę różę za przyjęcie losu, bezsilność
kolców w pochyleniu głowy do ścięcia,
w nagości nie do opisanego, w płatkach
spadających za płatkami, na ziemię.

Wiersz o suficie nad Okrągłym Stołem

Spadnie, nie spadnie, wisi zmiłuj się nad nami
odwrócony na wspak świecie antycznych sielanek,
drwiący ze zmartwień podłogi, co się nie umywa
do towarzystwa stołu, będącego w istocie sztuką
beztroskiego, czworonogiego żonglera.
Wszystkich widzę, w winoroślach, trąbach – wirują!
W blasku – ! – W pomnik nieznanego poety –
salwą... pal – ! – Niech trzeszczą dzieł szkielety!

Zawrotny melanz karuzeli, z poetami, trwa na okrągło.
Gaśnie puls ostatniej kropli herbaty, niewinne kostki
cukru bieleją, Pegaz gubi podkowy i wszystko znika.

Nic już nigdy nie wraca na swoje miejsce.
Tak działa sztuka – nie wiedziałeś o tym?

Ludwik Lipnicki

Wiem – nie wiem

Już wiem
których ścian nie pokonałem i nie pokonam
których rzek nie przepłynąłem i nie przepłynę

Chyba wiem do czego nie dane mi było dorosnąć
i jakich owoców już zebrać nie zdołam

Zawracam spod ściany skalnej – tu nic nie straciłem
lecz nie wiem
czy swego czasu
już nie przegrałem przy życia zielonym stoliku

Do źródła

Idę
idę pod prąd
do źródła
i łudzę się
że będę mógł zacząć znowu
choć wiem już to
czego woda jest nieświadoma
gdy ze źródła wypływa
niestety

Milczenie

Milczenie się stało
Milczenie otwarcia dnia
późnego wieczoru
dzwonka u drzwi
i telefonu
i kartki na stole
zwielokrotnione
niemym gestem dłoni
krzykiem oczu szeroko otwartych
Milczenie się stało

Jeden z nas

Jeden z nas napisał wiersz
użył słów
ja
do mnie
ze mną
ode mnie

Maria Borcz**Zwierzenia Kasi**

*sierotą jest dziecko, któremu nie urodził się jeszcze
rodzic i opiekun jego ducha (Janusz Korczak)*

plywam ponad dniami jakby mnie nie dotyczyły
układam wspomnienia w logiczną całość

przypominam sobie Elizę i jej białego jamnika
z rudymi uszami
uwielbiał tarmosić moją poduszkę
a gdy udawałam że śpię dobierał się do włosów

sądziłam że to już mój dom
niestety

nie wiem komu zawdzięczam kolor włosów
znamię na prawym nadgarstku

okno życia i ja w jego łonie
jak podmiot w martwym przedmiocie

może po prostu
to tylko dwa przedmioty

pewnemu politykowi

korupcję zdradę i arogancję
władzę dla władzy pokrętne słowa
wiatraki zmielą i w pył obróćą
historia jednak prawdę zachowa

nie będę drążyć w twoim sumieniu
choć brzemię władzy czuję na plecach
nie będę sędzią w niczyjej sprawie
sędziami będą dzieci po dzieciach

bandyta

sprywatyzował
jej konto
ubiór
kosmetyki
seks
dach nad głową
światopogląd

wszystko

ona już nie należy
do siebie

choć
wcale o tym nie wie

zwodzony most

*człowiek nie potrzebuje murów
ale mostów (J. P. II)*

zburzono mur
postawiono most
zwodzony
by zwodził że łączy

ruchome przeszło
zmiata ślady
komunikacji

* * *

opancerzeni nieufnością
szukamy wiary

nie wyobrażamy sobie
słodkiego jarzma
i lekkiego brzemienia

rozstawiamy ból
po kątach
tak szczerze
że już nie ma miejsca
nawet dla Ciebie

Magdalena Gryczyk**Tęsknota młodości**

Znowu się gdzieś kryjesz
biedny grzeszny chłopcze
usta jej malujesz
na brudnej podłodze
smutkiem brudzisz ręce
czarnym węglem stęsknień
rozpuszczasz jej dotyk
w czarnych łzach
swej kreski

Zdrajcy

Iskarioto smutny kłamco
dziurawa skarbonko
biegniesz, biegniesz
i się sypiesz
czarnej trawy łąko
oczów twoich płyną
czarne krople
które już dawno
przystały być mokre

Dorosłe dzieci

przytulona do drzewa
a już płacze bo
żywe
klei się bo chłopak
ale tylko śpiewa
o dziwo tak
jakby był
nadnormalny

Samson

a kiedy Samson
zamyka oczy
wciąga dotyki
wciąga powietrze
w pierś stalową
wielką jak wrota
wypuszcza ryki
nasienie żądy
rozrywa lwia paszczę i
gardziel pantery
uderza pięścią
ból naciągając
stłamszony siłą
swą własną
płacze

* * *

Niewidzialny Niemodny
zakrywa
twój wstyd
i liczne twoje grzechy
sam przed sobą
mógł spojrzeć
w lustro

Niewidzialny Niemodny
ukrywa
przed tobą
twój ciężar
abyś mógł
spocząć
na Jego
Ramieniu

* * *

Mogę się
jeszcze
opamiętać
stać przed
przepaścią
i drugi raz
rozpocząć
inny szlak

Natalia Palczyńska

godzina W

to miasto zna
gwiazdy z żółtych opasek
rysowane bystrymi dziobami gołębi kładą się
pod przyjezdnym niebem

nasze są tylko nałogi
dlatego tak łatwo zdelegalizować boga
i wiedzieć ulicę
butelkowa zieleń pozwala płynnie
przeżyć ciało
którego nie można kupić w photoshopie

chciałam przeliterować tłum
zamiast tego zbieram pestki
współczesny kanon piękna nie uznaje piegów

ofiarowujemy drugiej osobie
pięć poziomo pierwsza s
...eks (o jedną za dużo)
kobietę i mężczyznę uzasadnia prześcieradło

wciążam dwie kreski
które zrobił samolot

zastanawia mnie

co powiedziałyby tata

zakazane piosenki

pomruk czyichś kroków wznosi się
smużkami pajęczyn jeszcze tłą się rozmowy
i gesty spisane zapachem który wsiąkł
w skrzypienie podłóg

zanim okna zdziczały
w rząd nieheblowanych desek
ktoś nosem przyklejonym do szyby rysował w sepii
stare miasto z pożółkłych pocztówek

czyjeś palce i usta znajdowały się tu mocno
szepty zbiegały się w rumieńcach zdejmowanych niedbale
na oparcia krzesel
cichym jękiem wersalki dojrzewały tajemnice

kredens zaimpregnowany
warstwą kurzu pamięta dotyk tamtych oczu
w słojach tego drewna ktoś przechowywał melodię
zakazanych piosenek i jedwabnych firanek

gwoździe wbite w futrynę
zazdrośnie strzegą zmurszałego spokoju

kiedyś do tego służył klucz

wieczór literacki

wymieniamy znaki zapytania przecież
wieczór literacki wypada zacząć od kilku głębszych
przemysłów

w literaturze jak w życiu – posucha:
księżyc uderzył w dno szklanki opadł razem z cytryną

(mieliznę intelektualną obsiadły gołębie
ptactwo robi gdzie popadnie
garstka żółtodziobów opiera się po częstochowsku)

niepewność pęcznieje w nas do odlotu
między udami dzioby wiecznie głodnych piskląt
dotyk smakuje gorzko
jak chrzęst tłuczonych butelek

mój charakter pisma zawiśnie na tobie
klamrą kompozycyjną – spróbujesz dociec
jak koniec tej opowieści zespolił się z początkiem
przyglądając się wnętrzu tamtego pokoju:

od wytrzeszczonych firanek po miejsca gdzie pióro
całowało papier

Sara

pod skórą pęcznieje we mnie kobieta
para ud rozkołysanych latem
i brzuch
pachnący pestką

tymczasem co mi po ramionach otwartych
na oścież
po co mi piersi zamknięte na siedem pieczęci

zazdrosczę drzewom
pochylonym rozpustnie pod ciężarem owoców
kananejkom o biodrach soczystych jak dojrzałe figi
i dłoniach splecionych w gniazda

a przecież miałam być żyzną rolą
która przynosi plon obfity

a przecież zasiano we mnie
obietnicę

Cabernet Sauvignon
ze wszystkich pozycji najbardziej lubię
noc
późną i soczystą jak winogrono

dotyk rozrasta się
w zgięciach i zakamarkach
szypułka języka kreśli ruchy planet

kosmos ma konsystencję ciała
równoległe światy przenikają się wilgocią
a grawitacja łączy palce w zdania

czerwienią
opowiadasz we mnie kobietę

(15.08.2011)

Marek Wawrzekiewicz

Wiersze znalezione

fragment

W zakamarkach szuflad,
W dawno nieotwieranych książkach,
Obok kosza na śmiecie, na kopercie
Z urzędowym listem znalazłem
Strzępki wierszy, pytań zadanych
światu,
Ale również sobie.
Po co je pisałem, skoro nie zostały
w uchu,
Oku, sercu i w mózgu – choć tego
Najmniej się mogłem spodziewać?
Komu przeczytałem ten wiersz, gdzie
Zdarzył się ten krajobraz,
Ta burza w szklance wody,
Ten przelotny deszcz
I ten nocny piasek w oczach?
Kiedy to się stało?
Kim była ta dziewczyna,
Którą mogłem pokochać?
Co znaczą te sprawy, dla których
Nie poszedłem na spotkanie?
Jaki był ten spazm, rozpacz,
otwarcie oczu,
Widok obcego miasta, jeleń
Biegający leśną ścieżką, zasypianie?
Po co pisałem, po co piszemy,
Skoro nam to przeszkadza
W oglądaniu seriali telewizyjnych
Albo osłupiałych nocy?
Po co jesteśmy – my,
Przeżytki bezpowrotnie
minionych epok,
Skoro nikt nas nie używa,
Nawet jako mgliście migoczących
Latarek z gasnącą baterią?
Trupki wierszy, zwłoki
zadufanych pytań,
Nieuleczalne odpowiedzi.
Może czyta je Pan Bóg,
on ma wiele czasu,
Jeśli nie ogląda seriali
w telewizji Polsat.
Uwierzmy, czym prędzej uwierzmy
w Pana Boga.
Niech będzie tym czytelnikiem,
Który w nas, samotnych,
Jeszcze trochę wierzy.

marzec 2006



Marek Wawrzekiewicz
(ur. 21 lutego 1937r. w Warszawie), polski poeta, dziennikarz, tłumacz. Debiutował w 1960r. zbiorem wierszy „Malowanie na piasku”. W swoim do-

robku twórczym ma ponad 30 książek. Są wśród nich tomy wierszy, powieść, szkice teatralne, antologie i książki przekładowe. Do ważnych tomów wierszy należy zaliczyć m.in. „Późne popołudnie”, „Każda rzeka nazywa się Styks”, „Eliada i inne wiersze”, „Smutna pogoda”, „Coraz cieńsza nieć” oraz „Dwanaście listów” – tom apokryficznych tekstów o miłości, śmierci i przemijaniu.

Absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Łódzkiego, tłumacz władający kilkoma językami, wydał m.in. antologię poezji rosyjskiej „Pamięć. Poeci St. Petesburga”. Wiersze Marka Wawrzekiewicza przełożone zostały na kilka języków. Jego opowiadania, wiersze, reportaże i przekłady znaleźć można w kilkudziesięciu antologiach polskich i zagranicznych. Ponad trzydzieści lat pracował jako dziennikarz radiowy i prasowy. Był redaktorem naczelnym pism literackich „Nowy Wyrzaz”, „Poezja” oraz tygodnika „Kobieta i Życie”. Uehonorowany wieloma nagrodami literackimi – ostatnio srebrnym medalem Gloria Artis (2006). Od 2000 roku prezes Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, od 2003 roku prezes Zarządu Głównego ZLP.



Andrzej Bartyński

ur. we Lwowie 25 maja 1934 r. W czasie II wojny światowej aresztowany wraz z rodziną za czynny udział w ruchu oporu (łącznik Armii

Krajowej), przesłuchiwany przez gestapo jako dziewięcioletni chłopiec traci wzrok całkowicie. Od 1946 r. mieszka we Wrocławiu, gdzie ukończył filologię na U Wr. W 1956 r. założył z kolegami Wrocławską Grupę Artystyczną „Dlaczego nie” skupiającą młodych poetów, prozaików, aktorów i artystów plastyków. Wydał 9 książek poetyckich. W uznaniu zasług popularyzujących Polanicę Zdrój, jako kolebkę międzynarodowych festiwali poezji „Poeci bez Granic”, władze tego miasta nadały Andrzejowi Bartyńskiemu honorowe obywatelstwo. Jego drugą profesją jest pieśniarstwo.

Andrzej Bartyński

Mały tryptyk miłosny

1. Anioł i Róża

Szukałem Cię w czerwonej róży
ale Ciebie tam nie było
szukałem Cię w zielonej trawie
ale tam tylko polny konik
szukałem Cię w teatrze w literaturze
w śpiewie i fortepianie

A Ty przysłałaś jak anioł
codzienności
Ja otworzyłem Tobie drzwi
i teraz jesteś moim każdym dniem
Czerwoną różą w dłoni serca

2. Pocałunek oczu

Idzie poeta przez czasy
a ona – żona – z różą
patrzcie już wieczór – gwiazdy
oczy swe srebrne mrużą
Stały
przytulił poeta żonę
Westchnęły
jakie te gwiazdy słone

3. Pod balkonem

Ja z Tobą chleb jabłko gruszkę
Ja z Tobą świat słońce burze
Ja z Tobą ulice place lotniska
Ja z Tobą stół dom czerwoną piżamę

Czerwone usta pelargonii na
balkonie
ryczą na całe gardło o miłości
a ludzie zatykają uszy z przerażenia

Ja z Tobą czosnek cebulę na
klawiaturnie fortepianu
Zatańczmy pod błękitnym niebem
przy muzyce sfer

Ja z Tobą do końca słońca oceanu aż
wyparuje woda
Ja z Tobą do kropli kropki
kropki kropki kropki kropki
Kropka

Ja z Tobą w chlebie w niebie w
słońcu i fortepianie
a pod balkonem zatykają uszy
żadnego dotyku

zakręcić jak bączka
złapać w przedostatniej chwili
i wydusić spełnienie
z bezsilnie zadowolonej

Kazimierz Burnat**Zdumienie**

Jeszcze skrzypią drzwi sypialni
a już w przepastnej pościeli
rodzą się fantomy

w szparach okien muzyka
w powietrzu trzepot skrzydeł
księżniczki łąk zakwitają bielą

nawiedza go tęsknota
za migdałami
ale oczy wypełnione światłem
nie pozwalają zasnąć

życie to tylko kropla
pływanie na obrzeżach niemożliwe
trzeba się wtopić w jej istotę
i zachłysnąć oceanem

* * *

Przebudź mnie
skrzętnie zbiorę poranną wilgoć
ucichną przeciwne wiatry
odgromione chmury
odsłonią źrenice świata

z gałązką brzozy w dłoni
poprowadź
po drózkach świerszczy
do kęp dojrzałej trawy
aby u schyłku dnia
zaspokoić pragnienia
zapachem skoszonej łąki

przebudź mnie

przenikanie

Brakuje mi paru chwil
na własność
dystansu w zadumie
nad dogasającym żarem
zamykam oczy

czuję przelotny szept jutra
księżyc ustępuje miejsca
miękkiemu światłu Poranka

ciepłym pulsem
wpisuję się w jego świeżość
aby nadać sens bliskości

wtulam w pień
własny skrawek nieba

**Kazimierz Burnat**

ur. w 1943 r. w Szczepanowicach nad Dunajcem. Absolwent UW i AE we Wrocławiu. Poeta, publicysta, animator kultury. Autor siedmiu

książek poetyckich. Tłumaczony na 15 języków obcych. Tłumacz wierszy z języka czeskiego i ukraińskiego, dziennikarz, animator ruchu literackiego. Autor tomów poetyckich „W kolejce po” (1995), „Cichnące” (2003), „Przenikanie” (2006), „Am Rande des Erwachens” (2007), „Za obzor” (Broumov 2008), „Вивернути час на ліву сторону” (Kijów 2008) i „Wiew przeznaczenia” (2008). Książka „Przenikanie” została nagrodzona Wielkim Laurem XVI Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej i wyróżniona na XXIX Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu. Były żołnierz „czerwonych beretów”. Prezes Grupy Literackiej „Dysonans”. Redaktor naczelny kwartalnika „Bez Kurtyny”. Przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńskiego ZG ZLP. Współautor ponad sześćdziesięciu almanachów, antologii i monografii, w tym za granicą, m.in. w USA, Serbii, Czechach, Izraelu, na Ukrainie...

Swoją twórczość prezentował w czasopiśmie i na spotkaniach autorskich w kraju i za granicą, radiu i telewizji. Jego wiersze tłumaczono na język amharski, angielski, chorwacki, czeski, esperanto, francuski, hiszpański, litewski, lotewski, niemiecki, rosyjski, serbski, słowacki, ukraiński i wietnamski.

**Paweł Kuszczynski**

poeta i krytyk literacki, urodził się 7 czerwca 1939 roku. Liceum pedagogiczne ukończył w Kaliszu (1957 r.), studium

nauczycielskie w Poznaniu (1959 r.). Początkowo był nauczycielem. Studiował na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, którą ukończył w 1970 roku. Autor ponad 10 tomików, publikacje w niezliczonych antologiach współczesnej poezji polskiej i czasopiśmie literackich.

Laureat Poznańskiej Jesieni Poetyckiej w roku 1962 oraz Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w roku 1987 (przewodniczący jury – Artur Sandauer,

Paweł Kuszczynski
Biegający kochankowie

Williamowi Whartonowi

Paryż... Paryż... miasto nienazwane
gdzie życie jest na dłoni,
a sztuka bardziej oczywista
niż oddech.

Miłość rosła w nich niewspólnymi
latami,
biegła z różnych miejsc,
czekała na swoją najbardziej nieznaną
chwilę –
by się stać.

Teraz żyją pełnią otwarcia,
przynoszą ufność gołębi,
przychylne powietrze i szczerość.
Uwolnieni od litości,
tego nietaktu wobec istnienia.
Miękką ciemność wypełnia dotyk
i dźwięk, którymi mówi Mirabelle,
oczy bez błysku,
jedynie dla łez.

Kochać to więcej żyć.
Oboje dorosła w miłości,
kochankowie dzielą się
brzemieniem nocy.

Obraz Place Fürstenberg i głos
zielonego klawesynu –
mówią to samo.

Mirabelle i Jacques, Jacques i Mirabelle
– toczy się koło rozkoszy,
nawiedzającej noce wzajemnie
oddane.

Życie jest dane,
śmierć przychodzi okupiona
trwaniem.

A wszystko stało się przez rozsypane
farby.

Ludzie przez miłość równi Bogu
się stają.

sekretarz Zdzisław Morawski). W roku 2009 książka poetycka „Spotkanie pragnień” otrzymała nagrodę literacką XXXII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Za osiągnięcia w poezji i krytyce literackiej Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego przyznało mu 16 maja 2006 roku Srebrny Medal „Labor Omnia Vincit” (Praca wszystko zwycięża) a MKiDN medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Od 27 stycznia 2011 roku jest prezesem Zarządu ZLP Oddział w Poznaniu. Hobby: muzyka klasyczna, malarstwo i podróże.

Andrzej Dobrowolski

Godność Polaka

Opowieść o Janie Baczewskim

Licząca niewiele ponad 100 stron publikacja poświęcona wybitnemu działaczowi mniejszości polskiej w Niemczech zawiera w sobie ogromny ładunek emocjonalny. Po jej przeczytaniu nie sposób nie popaść w zadumę nad losami człowieka, który przez całe swoje życie musiał walczyć o godność. Autorka, cytując słowa Jana Baczewskiego: „być Polakiem w Polsce, każdy potrafi. Być Polakiem za granicą, już trudniej. Lecz być Polakiem w Niemczech i należeć do ludności autochtonicznej – na innej karcie powinno być zapisane”, formułuje na końcu cenną uwagę: „A na jakiej karcie zapisać >być Polakiem z ludności autochtonicznej wśród osadników na Ziemiach Odzyskanych?<”.

Autorka cytuje i prezentuje wiele dokumentów, zdjęć, a wśród nich udostępnione czytelnikowi po raz pierwszy. Korzysta ze zbiorów rodzinnych wnuczek Jana Baczewskiego: Gabrieli Baczewskiej-Pazdy i Elżbiety Baczewskiej, z zasobów Biblioteki Publicznej w Dębnie. Krystyna Kamińska wykorzystuje także cenne relacje osób, które znały osobiście Jana Baczewskiego, z nim współpracowały, jakie zebrała w 1983 r. i w 1984 r. przygotowując materiał do „Ziemi Gorzowskiej”.

Na pierwszych stronach jedynie sygnalizuje działania Jana Baczewskiego w okresie plebiscytu na Warmii i Mazurach w 1920 r., a następnie jego działalność w Parlamencie Pruskim, gdzie wywalczył prawa mniejszości do zakładania szkół, aby młodzież mogła się uczyć w swoim ojczystym języku. Pruska Rada Ministrów 31 grudnia 1928 r. wydała wreszcie „Ordynację szkolną dla mniejszości polskiej”. Pozwalała ona na zakładanie szkół prywatnych z polskim językiem wykładowym. Do historii przeszła ta ordynacja jako „Lex Baczewski”. Wcześniej na zakładanie szkół otrzymali zgodę Duńczycy i Serbołużyczanie. Na efekty „Lex Baczewski” nie trzeba było długo czekać. Już w 1933 r. było w Niemczech 67 szkół z polskim językiem wykładowym, w których uczyło się ponad 1900 dzieci, działało 29 przedszkoli, a Związek Polskich Towarzystw Szkolnych, któremu prezesował Jan Baczewski, prowadził również gimnazjum w Bytomiu.

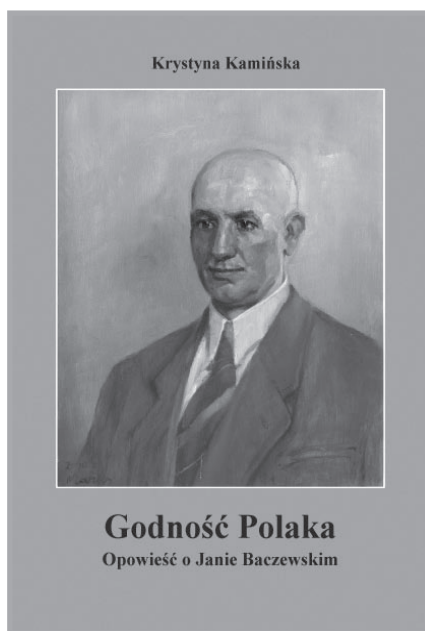
Jeszcze jednym dużym osiągnięciem J. Baczewskiego było doprowadzenie do zjednoczenia w Niemczech polskich spółdzielni, których działalność finansową kontrolowała komisja rewizyjna, a nie rząd niemiecki.

Po zawarciu układu o nieagresji między Niemcami a Polską w 1934 r. Jan Baczewski wycofał się z życia politycznego i publicznego i osiedlił się pod Berlinem, w Rangsdorfie, podejmując pracę w majątku ziemskim Adolfa Henniga.

Lata wojny 1939-45 to okres prześladowań – więzienie w Poczdamie, obóz koncentracyjny w Sachsenhausen. Z obozu został zwolniony po interwencji syna Zbigniewa u pułkownika Günthera von Schaurrotha, pod którego komendą służył ojciec podczas I wojny światowej.

Krystyna Kamińska dwie trzecie książki poświęca działalności Jana Baczewskiego jako burmistrza Dębna (1945-47), posła na Sejm Ustawodawczy (1947-1952) oraz wydarzeniom z ostatnich lat życia jego i rodziny.

Na podkreślenie zasługują prezentowane przez autorkę dokumenty odzwierciedlające konflikt ze starostą o uznanie J. Baczewskiego za obywatela państwa polskiego. Sprawa znajduje epilog 13 kwietnia 1947 r., gdy J. Baczewski podpisuje deklarację: „Ja, niżej podpisany Jan Baczewski (...) oświadczam, że jestem obywatelem polskim...”. W deklaracji użyto sformułowania „chcę być obywatelem polskim”.



Jan Baczewski skreślił „chcę być” i napisał „jestem”. Mamy tutaj klasyczny przykład, gdy Jan Baczewski walczy o swoją godność – Godność Polaka. Zawsze i wszędzie czuł się Polakiem, i gdy w 1945 r. przyszła do niego Polska – może nie taka, o której marzył – musiał ówczesnej władzy udowodnić, że jest synem narodu polskiego.

Z relacji osób, jakie cytuje autorka, widać wyraźnie cechy charakteru J. Baczewskiego: pracowitość, poszanowanie prawa, bezkompromisowość. Jako poseł na Sejm RR złożył interpelację w sprawie uwolnienia Polaków z Ziemi Złotowskiej, Warmii i Mazur, którzy znaleźli się w niewoli radzieckiej jako żołnierze armii niemieckiej.

J. Baczewski dzierżawił w Dębnie gospodarstwo o powierzchni 65 ha, które doprowadził do rozkwitu. Krystyna Kamińska cytuje w całości zachowany dokument, w którym jak w zwierciadle przedstawiono, w jaki to sposób w 1949 r. zabrano J. Baczewskiemu gospodarstwo: „W lipcu 1948 r., w czasie żniw, starosta powiatu Chojna, Władysław Kościółowski, szabrownik, przysłał mierniczego do odebrania gospodarstwa, bez uprzedzenia”. [...] „W lutym 1949 r. poseł Baczewski otrzymał zawiadomienie z wojewódzkiego Wydziału Osiedleńczego, że do dnia 1 marca winien zdać gospodarstwo [...]”. 6 lipca br. zjawiała się u posła Baczewskiego komisja w liczbie 8 osób plus wicestarosta powiatu Chojna. [...] Komisja zjawiała się ponownie dopiero 16 lipca z kartką od PZPR, że należy przejąć gospodarstwo natychmiast oraz cały inwentarz żywy i martwy, z tym że poseł Baczewski ma sam przeprowadzić żniwa. [...] Członkowie komisji, z wyjątkiem dwóch ostatnich, zachowywali się w stosunku do posła Baczewskiego w sposób arogancki, impertynencki i brutalny. Podkreślali, że nie rozmawiają z nim jako posełem, a jako dzierżawcą”.

Powyższy dokument odzwierciedla ówczesną politykę rolną, jaką stosowano wobec gospodarstw indywidualnych. Dla władzy Jan Baczewski był kułakiem, którego należy zniszczyć.

Autorka prezentuje również losy rodziny Baczewskich: syna Zbigniewa, do którego ojciec śle listy pisane po październiku 1956 r. prosząc o powrót do kraju. Przedstawia historię jego wnuczek – Gabrieli i Elżbiety, które obecnie zamieszkują w Niemczech w miejscowości Rangsdorf.

Mimo upływu tylu lat od śmierci Jana Baczewskiego (zm. 20 czerwca 1958 r.), pamięć o nim jest powoli przywracana.

Krystyna Kamińska na ostatnich stronach książki opisuje wydarzenia, jakie miały miejsce w Rangsdorfie. Na posesji domu, w którym kiedyś mieszkał Jan Baczewski, pojawiła się tablica z tekstem „W tym domu w latach 1932 - 1939 żył J. Baczewski, prusko-polski Żyd. Potomkowie Baczewskiego mieszkają jeszcze dziś w Małej Wenecji, jednakże nie mogli lub nie chcieli zapobiec jego dewastacji. Tym samym widok tego pomnika pozostaje na stałe w pamięci”.

Była to potwarz i pomówienie. Interweniowała Gabriela Baczewska-Pazda u władz miejscowych, burmistrza Dębna, w ambasadzie RP w Berlinie. I nagle w nocy z 22 na 23 lipca 2010 r. dom spłonął. Śledztwo w tej sprawie trwa.

16 maja 2011 r. z inicjatywy burmistrza Klausa Kochera w Rangsdorfie obok spalonego domu odsłonięto tablicę poświęconą Janowi Baczewskiemu.

W uroczystościach wzięli udział wiceburmistrz Dębna Wojciech Czepułkowski, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Kazimierz Fafuła,

poseł na sejm Arkadiusz Mularczyk, senator Dorota Arciszewska, ambasadę polską w Berlinie reprezentował Mariusz Skórko.

W książce K. Kamińska przedstawiła nam sylwetkę człowieka niemal już zapomnianego, ale nie w Dębnie. Dotarła również do zdjęć i dokumentów, które czynią, iż staje się ona bardzo ciekawa i interesująca.

Jeżeli czytelnik sięgnie po nią, trudno będzie mu ją odłożyć. Książka ta winna nie tylko funkcjonować w obszarze Dębno–Gorzów, ale zasługuje na rozpropagowanie w całym kraju, a przede wszystkim w rodzinnych stronach Baczewskiego, na Warmii i Mazurach.

Reasumując należy podkreślić, że otrzymaliśmy książkę bardzo wartościową, napisaną w sposób wyważony, a zarazem ciekawy, będącą hołdem wobec Godnego Polaka – Jana Baczewskiego.

W Bibliotece Publicznej w Dębnie 30 września 2011 r. odbył się wieczór autorski, gdzie licznie zgromadzona publiczność z Dębna, Gorzowa oraz z Berlina z zainteresowaniem słuchała Krystyny Kamińskiej opowiadającej o postaci i o tym, jak ta publikacja powstała. Z Rangsdorfu przyjechały wnuczki Jana Baczewskiego: Gabriela Baczewska-Pazda z mężem Bogusławem oraz Elżbieta Baczewska. Widać było, iż są szczęśliwi, że Jan Baczewski został uhonorowany przez społeczność Dębna.

Andrzej Dobrowolski

Krystyna Kamińska, Godność Polaka. Opowieść o Janie Baczewskim, Dębno – Gorzów Wlkp. 2011, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Dębno, s.108.

Dorota Olejniczak

Nie? -możliwe

Zamykam oczy...

Drżąca ziemia tuli niechciane spojrzenie.

Zeslizguję się z dachów, potykam o zmurszałe cegły,
dotykam kominów...

One pamiętają...

W nich skowyt tłumiony zwykłym, ludzkim:

Nieosiągalne... Naprawdę?

Przecież był taki uczynny

Utylitarny był

Zsocjalizowany

Promienie słońca wdzierają się pod zaciśnięte powieki

Żyję

Tylko dym snuje się zmacony niepewnością,
tylko porzucona w pośpiechu myśl trzepocze lękiem
wymierzając kolejne razy Chrystusowi.

Jest sąsiadem zza ściany, ma cztery lata i
błękitne, czyste... ech...

Gdyby nie jego płacz dym płynąłby spokojnie
więc pomijam go wymierzając kolejne uderzenia
obojętności i... niedowierzania.

Przecież był taki miły

Życzliwy

Nieosiągalne.

Tylko te lzy...?

Nieosiągalne.

Krystyna Kamińska

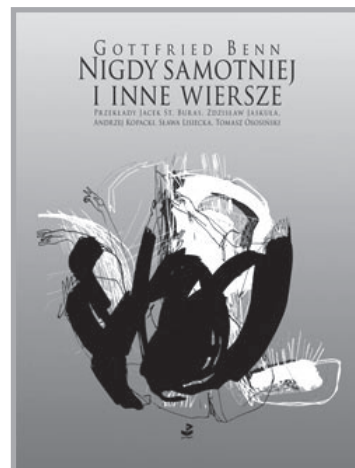
Benn – poeta i prozaik

Gottfried Benn (1886-1956), znakomity pisarz niemiecki, w latach 1943-1945 był lekarzem w niemieckiej jednostce wojskowej, miał gabinet obok bramy koszar przy dzisiejszej ulicy Chopina, w budynku, w którym obecnie jest hala sportowa. Pisał wtedy wiersze ważne w jego dorobku, a opublikowane dopiero na początku lat 50. Niedawno na polskim rynku wydawniczym ukazały się dwie książki z utworami Gottfrieda Benna: wiersze – „Nigdy samotniej i inne wiersze” oraz proza „Mózg i inne nowele”. Tadeusz Nyczek ocenił te dwie książki w recenzji „Poezja świeci, proza gaśnie” („Przekrój” 8 VIII 2011).

O Bennie-poecie pisze: *Po Rilke'ch chyba największy (poeta). Rozhulał poetycki język do niebotycznych wyżyn. Wyobraźnię obrazową mógłby obdzielić szwadron nienajgorszych poetów. Nie wahał się przed używaniem w wierszach realiów, które musiały ongiś wstrząsać miłośnikami poetyckiego piękna. I dalej: Poezja jest wspaniała. Proza, uczciwszy uszy, nie do czytania. Wiem, ciężko grzeszę, bo co to znaczy – nie do czytania. Na Benna nie da się, ot tak, machnąć ręką. Ja nie mówię, że to zła proza. Być może nawet, na swój sposób, wybitna. Ja tylko mówię, że nie do czytania. Może kiedyś była, ale dzisiaj już nie.*

Ciekawą dalszą rozważania Tadeusza Nyczka: *Wszystko to bodaj stąd, że poeci, biorąc się do prozy, najczęściej nie są w stanie zapomnieć – a może wręcz zapomnieć nie chcą – o swojej poezji. To przypadek Białoszewskiego. Prozę Cendrarsa bez trudu da się wywieść z jego liryki. Może jeden Iwaszkiewicz umiał uniezależnić od siebie dwa gatunki. Benn nie umiał i chyba nie chciał. Problem w tym, że im bardziej rozchwiany, rozwibrowany jest język poezji, tym gorzej sprawdza się w prozie. Proza musi opowiadać historie, poezja nie musi. W wierszach obrazy nasycone gęstą metaforą uruchamiają wyobraźnię. W prozie nadmiar metafor hamuje opowieść. Zamiast podążać za narracją, czytelnik grzęźnie w spuchniętych od poetyckich skojarzeń zdaniach. To właśnie przypadek Benna.*

Tadeusz Nyczek nie skrywa, że z trudem czytał prozę Benna. Ale... *Oddychałem dopiero przy wierszach. Czasem ten oddech tracilem, ale nie z nudy, grozy czy z rozpacz, tylko z zachwytu.*



Gottfried Benn, Nigdy samotniej i inne wiersze, wybór, opracowanie i wstęp Zdzisław Jaskuła, tłumacze różni, Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 204.

W numerze 2 /2011 PL zamieściliśmy wiersz pt „Plan” pomyłkowo podpisany Dorota Olejnik. Winno być Dorota Olejniczak. Poetkę przepraszamy. **Redakcja**

Krystna
Kamińska

Rok Kleista

Rok 2011 jest obchodzony w Niemczech jako Rok Kleista. Odbywają się imprezy propagujące jego twórczość, szczególnie ich nasilenie planuje się na listopad, w dwusetną rocznicę śmierci. We Frankfurcie nad Odrą znajduje się jedyne muzeum poświęcone temu pisarzowi, tu przygotowano nową ekspozycję, tu koncentrują się różne projekty Kleistowskie.



Heinrich von Kleist (ur. 18 X 1777 r. we Frankfurcie nad Odrą, zm. 21 XI 1811 r. w Vannsee pod Berlinem) – pisarz, dramaturg, poeta i publicysta niemiecki. W latach 1792-1799 Kleist był oficerem w armii pruskiej. Po dobrowolnym opuszczeniu armii zaczął w kwietniu 1799 r. studiować m.in. matematykę, fizykę i łacinę na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. W tym też roku poznał Wilhelminę von Zenge, córkę generała, z którą zaręczył się już na początku 1800 r. Po zaledwie trzech semestrach nauki (1800), przerwał studia i pod wpływem rodziców narzeczonej został urzędnikiem państwowym. Popelnił samobójstwo w pobliżu Vannsee w okolicach Berlina. Zastrzelili się wraz ze swoją przyjaciółką, Henriettą Vogel. Był to chłodno przemyślany czyn estetyczny, do którego długo się przygotowywał. Spowodowany był filozofią Kanta i ideą niepoznawalności prawdy.

Zasłynął głównie jako autor sztuk, m.in. „Księżę Homburg” (1810), „Rozbity dzban” (1811), „Kasia z Heilbronn” (1808 – trzy realizacje w Gorzowie). Uważany jest za twórcę niemieckiej nowelistyki psychologicznej. Kluczowym pismem teoretycznym Kleista jest praca pt. „O teatrze marionetek”.

Z wypowiedzi prof. dr. Güntera Blambergera – historyka literatury, przewodniczącego międzynarodowego Towarzystwa Heinricha von Kleista i autora licznych książek, w tym biografii Kleista.

– *W Heinrichu Kleiście fascynuje mnie, że jego bohaterowie nie popadają w melancholijną zadumę i nie dzielą włosa na czworo, co zupełnie byłoby w duchu niemieckiego idealizmu, ale są zwykłymi ludźmi, którzy przeżywają kryzysy. Nie grzebią się przy tym w filozoficznych koncepcjach – jak u Schillera, Goethego albo Schlegla – lecz działają i ponoszą klęskę. Kleist jest dla mnie największym wyjątkiem w historii niemieckiej literatury, ponieważ interesuje go, jak ludzie faktycznie się zachowują, a nie jak zachowywać się powinni. Gdybym prowadził seminarium na temat Friedricha Schillera, Eduarda Mörikego czy Friedricha Schlegla przysłoby może dwudziestu studentów. Na Kleiście mam sto, sto pięćdziesiąt osób. Myślę, że on budzi ciekawość młodych, bo czują, że mają z nim wiele wspólnego. Kleist potrafił żyć ryzykownie, bez żadnych życiowych planów. Nie bał się także ryzyka w pisaniu i nie podporządkowywał się żadnym systemom.*

Przede wszystkim surowa opinia Goethego spowodowała, że przez długi czas nie było Kleista w niemieckim kanonie literackim. Trafił tam wraz z początkiem modernizmu, a więc dopiero w XX wieku, podczas gdy do kanonu literatury światowej należał już od dawna. Odkryli go Franz Kafka, Alfred Döblin i Thomas Mann. W setną rocznicę śmierci Kleista, w 1911 roku, na całym świecie odbywały się kongresy poświęcone jego twórczości. Od tego momentu nie można już było mówić o nim jako o kimś, kto poniósł klęskę. On sam również tak nie uważał, wiedział, co potrafi. A my

ciągle patrzymy na jego życie przez pryzmat samobójstwa. Myślę, że należałoby zmienić nasze podejście do jego biografii. Kleist jest antyklasykiem i największym moralistą w niemieckiej literaturze – a to jest rzadkie, bo mamy głównie idealistów – i pisał fascynująco, także dla nas dzisiaj. Jego sztuki są częściej wystawiane niż dramaty Goethego bądź Schillera.

To jest pisarz, który czeka na odkrycie. Czymś absolutnie sensacyjnym w jego bohaterach jest przecież to, że ciągle zmieniają nastroj i mają chwiejny charakter. Są nieobliczalni. Penthesilea w jednym momencie kocha, a w następnym morduje. Takie rzeczy dzieją się w dzisiejszym świecie. Znamy kogoś od lat, a on nagle porywa samolot i uderza w WTC. Gdyby nie zdecydował się na samobójczy krok i dłużej pisał, wierzę, iż cieszyłby się większym uznaniem niż Goethe czy Schiller.



...Poetyckie

sąsiedztwo...

Poezja Papuszy w Niemczech

Jedno z piękniejszych muzeów literatury w Europie – Muzeum im. Heinricha von Kleista we Frankfurcie nad Odrą wydało niedawno w wersji dwujęzycznej (niem.-pol.) poezję Bronisławy Wajs-Papuszy pt. „Papuzas gesprochenes Lied” („Papuszy pieśni mówione”). Autorką wyboru wierszy i przekładu ich na niemiecki jest znana tłumaczka literatury polskiej w Niemczech Karin Wolff.

To książka bez wątpienia bardzo cenna nie tylko dla miłośników kultury cygańskiej. Przypomnijmy, że ostatnia polska edycja tomu wierszy Papuszy zatytułowanego „Lesie, ojciec mój” ukazała się w 1990 r. w warszawskim „Czytelniku”. Wiersze podał wówczas do druku odkrywca jej talentu i autor przekładu jej wierszy z cygańskiego na polski – Jerzy Ficowski. Nowa książka jest dla K. Wolff drugim dwujęzycznym wydaniem poezji Papuszy w Niemczech. Pierwsze ukazało się w 1992 r. jako dziewiąta książka w prestiżowej serii poetyckiej (POET'S CORNER) berlińskiego Wydawnictwa Niezależnego (Unabhängige Verlag).

Wprowadzenie do „Papuszy pieśni mówionych” napisał Wolfgang de Bruyn – dyrektora Muzeum Kleista. Zaprezentował m.in. sylwetkę twórczą Karin Wolff i jej wkład w upowszechnianie kultury polskiej w Niemczech. Przypomnijmy więc, że Karin Wolff organizuje we Frankfurcie nad Odrą Salony Literatury Polskiej, jest laureatką „Medalu Wdzięczności” przyznawanego przez Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, jest też Honorowym Członkiem gorzowskiego Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy.

Autorką posłowania jest Karin Wolff. Opisuje w nim m.in. korespondencję poetki z Julianem Tuwimem i wprowadza czytelnika w arkana Cygańszczyzny.

Tomik inauguruje nową serię wydawniczą Muzeum Kleista, której hasło brzmi „Poetyckie sąsiedztwo” („Poesievolle Nachbarschaft”). Dwa kolejne tomiki, również dwujęzyczne, prezentować będą wiersze gorzowianina Kazimierza Furmana i urodzonej w Łodzi, a mieszkającej w Izraelu – Renaty Jabłońskiej. Wszystkie stanowią pokłosie autorskich Salonów Karin Wolff we Frankfurcie nad Odrą przebiegających pod hasłem „Czytanie w ziemie”.

Leszek Bończuk

Krystyna Caban

Sześćdziesiąt pchnięć

Tomik zaczyna się od wiersza: *Żegnaj / powiedział wycieracze / zostawiając klucz / i rozłożony tapczan*. Wiemy wszystko. Koniec związku, koniec miłości, tej od uczuć i tej od tapczanu. Taki cios boli, zawsze boli. Rozstanie to pchnięcie prosto w serce. Krystyna Caban, autorka cytowanego wiersza, nadała swojemu tomikowi tytuł „Sześćdziesiąt pchnięć”. Bo jest tu dokładnie sześćdziesiąt



krótkich wierszy od dwu- do najwyżej dziesięciowersowych, z przewagą tych krótszych. Każdy z nich może być właśnie takim pchnięciem. Słowo to autorka wykorzystuje w co najmniej dwóch znaczeniach. Po pierwsze jako element korridy, gdy On jest torreadorem, po drugie – to także pojęcie z zakresu erotyki. Bardzo pojemne okazało się przedstawienie związku damsko-męskiego jako korridy. Bo jak w korridzie tak między kobietą a mężczyzną są kolejne etapy rozgrywki, uwodzenie, uniki, poddania, klęski, zwycięstwa. Ta walka zawsze trwa. Idzie pchnięcie za pchnięciem, także fizycznym, aż do bólu. Są też pchnięcia piękne. Na przykład moment poznania jego, gdy w jednej chwili świat przestaje istnieć. Krystyna Caban napisała poemat o miłości podzielony na pchnięcia, czyli sceny, zdarzenia, stany emocjonalne, nawet myśli. W wyrażaniu wszystkich tych uczuć jest niezwykle oszczędna, powściągliwa w słowach, choć uczucia buzuja. Jak w tym przejmującym erotyku: *zwiotczałe prześcieradło / ciało zmęczone / pchnięciami matadora / a ja w roli oszukanego zwierzęcia*. Albo inny – jeden z najkrótszych wierszy, ale jakże przejmujących smutkiem: *byłam domem – a teraz nawet meble odeszły*.

Krystyna Caban od dawna pisze wiersze, wcześniej wydała pięć tomików, nawet obszerniejszych od tego. Ale ten wyróżnia się spójnością, świadomie założoną kompozycją całości. Myślę, że to także zasługa redaktorki – Beaty Patrycji Klary. Tomik dopełnia rzeczowa i ciepła recenzja Leszka Żulińskiego. Kończy się ona stwierdzeniem: *W cichym, konfesyjnym języku Krystyna Caban zbliżyła się do mądrości życia i do takiego rygoru uczuć, który paradoksalnie odkrywa ich tajemnicę*.

Na zakończenie muszę zacytować ostatni wiersz, czyli „Pchnięcie sześćdziesiąte”: *wyprzegam konie / zdecydowanie wolę / ciągnąć wóz sama // okryta dziurawą muletą / wiem ile mnie to kosztuje / ale nie odgrywam roli / konającego z miłości byka // to ja jestem torreadorem*.

Irena Zielińska

Przyłapana na istnieniu



Gdy czytałam tom wierszy Ireny Zielińskiej „Przyłapana na istnieniu”, żałowałam, że znam autorkę. Zazwyczaj prywatna znajomość autora przybliża do niego czytelnika. Tu po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że mój odbiór wierszy może być zawężony, bo wiem, że fizycznie jest drobna i krucha, że wynika to z jej choroby trwającej od zawsze. A przecież Irena Zielińska jest osobą niezwykle ży-

wotną, wręcz silną psychicznie i artystycznie. Wypowiada się w poezji, obecny jest czwartym zbiorem jej wierszy. Równolegle maluje i rysuje, miała kilka interesujących wystaw. Ale od dawna zarówno w jej wierszach, jak i w plastyce dominują barwy ciemne, wszechobecny jest smutek. Jak w wierszu pod tytułem „Uważnie przyglądam się światu”: *w mojej dolinie paradoksu / gdzie wieczny wiatr wieje / jest po prostu cierpienie*. Pomyślmy: jej świat to dolina paradoksu, w tej dolinie nieustannie wieje wiatr, a cierpienie jest tam stanem normalnym. W całym tomie wierszy „Przyłapana na istnieniu” stale wieje metaforyczny wiatr, cierpienie jest wszechobecne, a otaczającego świata zrozumieć się nie da. Każdy z nas, nawet cieszących się znakomitym zdrowiem, może wokół siebie widzieć tylko paradoksy, wichry i cierpienia, ale ja myślę stale o chorobie autorki. Irena Zielińska nie skrywa swojego stanu zdrowia. Ta choroba w niej po prostu jest. Ale to, że uwolnić się od niej nie można, pozwala autorce śmiało wchodzić na tereny częściej eksploatowane przez filozofię niż przez poezję. Na przykład, gdzie jest granica naszej samodzielności, a odkąd jesteśmy zależni. Z powodu choroby autorka głębiej doświadcza uzależnienia. W wierszu „Kazali” pisze: *Od urodzenia aż do śmierci kazali żyć (...) w pokoju kazali / z samej siebie śmiać się / i płakać / w noc smutną kazali biec / przez most / na drugą stronę rozumienia*. Ten przygnębiający wiersz ma jeszcze jedno dno. Kończy się przejmującym stwierdzeniem: *kazali mi puszczać latawce słów bez znaczeń*. Nie, tego zalecenia ona nie przyjmuje. Sfera twórczości, sfera wiersza, pisania, jest dla Zielińskiej światem samorealizacji. Tylko tu może być swobodna, nieograniczona, poszukująca i prawdziwa. Właśnie prawdziwa. Irena przekonuje swoich odbiorców, że jej wiersze to spowiedź z własnego życia, autobiografia zanurzona w poezji. To tom napisany krwią. Naprawdę. Cała książka wydrukowana jest czerwoną farbą, strony oddzielające poszczególne części są w kolorze czerwieni. Pomysł chyba dobry, gdyby nie malutka czcionka, która ogromnie spowalnia lekturę. Tę książkę trudno się czyta nie tylko ze względu na tematykę i formę wierszy, ale także z powodu koncepcji plastycznej. A przecież ona winna pomagać, a nie przeszkadzać w odbiorze.

Na zakończenie, by nie popaść w absolutny pesymizm. Dawno nie czytałam tak ciepłego, tak serdecznego wiersza jak „Malarstwo” dedykowane przez autorkę – cytuję: *Najukochańszej istocie na świecie – mojej mamie*. I jeszcze: bardzo wiele wierszy Irena dedykuje swoim przyjaciółom wymieniając ich z imienia i nazwiska. Niejeden człowiek w pełni zdrowia i sił nie ma tylu przyjaciół co ułomna Irena. Dlatego przeczytajcie ten tomik: smutny, a przecież pełen mądrych przemyśleń.

Irena Zielińska „Przylapano na istnieniu” - Wyd. PRO LIBRIS przy WiMBP w Zielonej Górze 2011, oprac. graficzne Małgorzata Gurowska-BOX, str. 58
Postowie: Janusz Koniusz

Iwona Żytkowiak

TONIA

To powieść o dwóch paniach. Jedna ma na imię Tonia, a życie niesie jej same kłopoty. Wcześniej wyszła za męża, bo dziecko w drodze, stale zabiegała, aby mąż ją pokochał, a on gbur i niewdzięcznik ją lekceważył, a potem poniżał. Ma troje dzieci, ale najmłodszy syn jest niepełnosprawny, więc wymagający stałej opieki mamy. Jakby tego było mało, Tonia zachorowała i to aż na raka. Nie było chyba damskiego kłopotu, który by Toni nie dotknął, łącznie z wiecznym brakiem pieniędzy.

Druga bohaterka tej książki nie ma imienia. Jest osobą wykształconą, pisze rozprawy z zakresu filozofii i estetyki, jej kształcony mąż prowadzi intratny biznes, dzieci dobrze się uczą, mieszka w obszernym domu z ogródkiem.

W literaturze popularne jest zderzenie dwóch kobiecych osobowości. Klasyczny przykład to „Rozważna i romantyczna”. Tym tropem poszła Iwona Małgorzata Żytkowiak pisząc powieść pod tytułem „Tonia”. Jedną z bohaterek można by nazwać rozważną, bo zadbała o własne wykształcenie i statecznego męża, ale druga, czyli Tonia wcale nie jest romantyczna. Ona stale musi się brać z życiem za bary, choć chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Po prostu: przyjmuje, że życie pełne jest problemów, które trzeba omijać lub skutecznie rozwiązywać. Nie opuszcza jej nigdy marzenie: kiedyś będę naprawdę szczęśliwa i bogata. Ono jest dla niej siłą napędową, ono wyzwala jej inwencję.

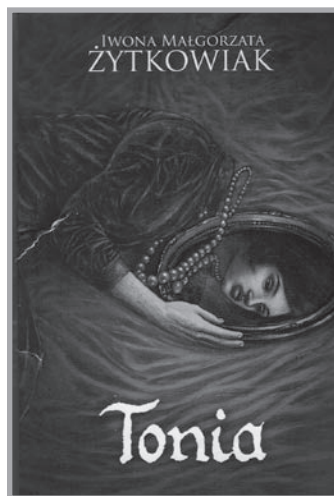
Iwona Małgorzata Żytkowiak debiutuje powieścią „Tonia”. Z notki biograficznej zamieszczonej w książce wiem, że ukończyła filologię polską oraz studia filozoficzno-etyczne na Uniwersytecie Szczecińskim a także roczne studium polonistyczne w Instytucie Badań Literackich w Warszawie. Nie da się ukryć: wykształcona. Następne zdanie notki informuje mnie, że jest matką czterech synów i że mieszka w Barlinku. Już sobie wyobrażam, ile kłopotów niosło jej wychowanie czterech chłopaków. Jak sobie radziła na co dzień z dziećmi i kształceniem? A może w powieści samą siebie podzieliła na dwie: tą bez imienia, stateczną i mądrą, oraz Tonię biorącą życie po prostu, bez filozofowania?

Jak powiedziałam „Tonia” to debiut Iwony Żytkowiak, ale czyta się tę powieść jak dzieło doświadczonej autorki. Potoczysta akcja, żywy język, świetnie skonstruowane dwie główne bohaterki, problemy współczesne, bliskie każdemu czytelnikowi, ale jednocześnie niosące pytania egzystencjalne. Moim zdaniem, sukces powieści tkwi w narracji. W zasadzie o Toni opowiada mężowi

ta druga, jej przyjaciółka, w naturalny sposób włączając swoje opinie. Całkiem niepostrzeżenie od czasu do czasu wkracza od autorski narrator tylko po to, by ożywić akcję, bez jej komentowania. Taka konstrukcja powieści świadczy o wiedzy i o talencie literackim autorki.

W końcu powieści Tonia rzeczywiście jest szczęśliwa i bogata, ale akurat takie rozwiązanie akcji najmniej mnie przekonuje. Chyba, że autorka napisze drugą część. Gorąco ją do tego namawiam, bo lubię jej spontaniczną i zaradną Tonię.

Iwona Małgorzata Żytkowiak, „Tonia”, Wydawnictwo Innowacyjne „Nowa Res”, Gdynia 2011



Iwona Żytkowiak

ur. 1963 r. Mieszka i pracuje w Barlinku. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Szczecińskim, studia filozoficzno-etyczne również na US oraz studia polonistyczne w IBL PAN w Warszawie. Matka czterech synów.

Pisze „od zawsze”. Powieść pt. „Tonia” to jej debiut literacki. Na druk czekają następne książki: „Tak żyć się nie da”, „Spotkania przy lustrze”, „Całkiem dobre życie”. Na warsztacie ma piątą powieść pt. „Drugie piętro”. Fascynuje ją wiele rzeczy od zwykłych codziennych spraw poprzez sztukę, muzykę do poezji – szczegól-

nie umiowała sobie Herberta. Sama także pisze wiersze. Zamieszczone na tej kolumnie są jej poetyckim debiutem.

Iwona Małgorzata Żytkowiak

* * *

**Kobiety mojego życia
feministki
matki
stare panny
kochanki
nie moje
(ja jestem nudnie monogamiczną żoną)
żeby choć jedna dziwka się trafiła
dla urozmaicenia
niosą swoje dzieci
z siatkami pomidorów
karkówki i gazetą
Wieczorem spoglądają swoim mężom
prosto w plecy
satynowe koszule zamieniają
w zapach krochmalu i lenora**

**Rano długo
bardzo długo
przeglądają się w lustrze
szukają potwierdzenia
własnego istnienia**

Zorndorf 1758. Nierozstrzygnięta bitwa

Bitwa pod Zorndorf, obecnie Sarbinowo, rozegrana została 25 sierpnia 1758 roku. Z okazji 250-lecia tej bitwy odbyła się wielka inscenizacja, a nieco później sesja naukowa. Dopiero teraz, z trzyletnim opóźnieniem, ukazała się książka prezentująca wygłoszone wówczas referaty. Jej tytuł: „Zorndorf 1758. Nierozstrzygnięta bitwa?” ze znakiem zapytania na końcu. Wydawcą jest Księgarnia Akademicka w Zielonej Gorze.

Była to jedna z najważniejszych bitew wojny siedmioletniej – przypominam – wojny z lat 1756-1772. Historycy uznają ją za pierwszą wojnę europejską, bo wciągnięte do niej zostały niemal wszystkie państwa ówczesnej Europy. Była to wojna o hegemonię w Europie, a w zasadzie o miejsce Prus. Polska w tej wojnie nie brała udziału, bo już była za słaba. Ziemie, na których rozgrywały się najważniejsze bitwy, też nie należały do Polski, więc nasza powszechna wiedza o tej wojnie jest raczej niewielka. A przecież to tu, w bitwach w rejonie Gorzowa – pod Sarbinowem i pod Kunowicami – decydowały się losy Prus, a pośrednio i Polski, jako że niedługo potem nastąpiły rozbiory.

W bitwie tej brało udział blisko 70 tysięcy Rosjan i około 43 tysiące Prusaków. Łącznie ponad 110 tysięcy ludzi. Zabitych, rannych i wziętych do niewoli było ponad 20 tysięcy Rosjan i blisko 12 tysięcy Prusaków. A mimo takich sił i takich strat, bitwa nie została rozstrzygnięta. Specjaliści od historii wojskowości szczegółowo przeanalizowali przygotowania, taktykę i przebieg tej bitwy z obu stron. Po szczegóły odsyłam Państwa do książki, a tu skoncentruję się na aspekcie, który mnie najbardziej zaskoczył. Na propagandzie. Najszerzej pisze o niej Lech Łukasiuk, historyk z Dębna, choć w innych referatach wątek ten także jest obecny.

Jeszcze przed tą bitwą, czyli na początku wojny, w pieśniach i w wierszach sławiono króla Fryderyka II jako zwycięzcę, choć do zwycięstwa było jeszcze daleko. Natomiast po samej bitwie rozbiła się bańka z rozlicznymi drukami, które udawały zwycięstwo pruskiego króla. Pieśni o tym zwycięstwie śpiewano powszechnie: od dzieci po starców. Bardzo popularne stały się – dziś byśmy powiedzieli – ballady opisujące bitwę i odwagę w niej króla oraz pruskich żołnierzy. W ogromnym nakładzie wydrukowana została broszura z wierszem zaczynającym się od słów: „Muzo, zwycięstwo Fryderyka wyśpiewaj, wspaniałymi czynami daj się zachwycić”. Jest to parafraza początku „Odysei” Homera, a tam: „Muzo! Męża wyśpiewaj, co święty gród Troi zburzywszy...” I tak dalej. Zadziwiające, jak w czasach gdy nie było telewizji, radia, a gazety czytali nieliczni, taką wagę przywiązywano do propagandy, czyli do kształtowania opinii publicznej. I niech historycy dowodzą, że bitwa pod Sarbinowem pozostała nierozstrzygnięta. Dla Prusaków było to zwycięstwo ich wojska z Fryderykiem II na czele. A propaganda nie jest wynalazkiem naszych czasów.



Dziedzictwo kulturowe regionu pogranicza



Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Gorzowie od lat organizuje konferencje naukowe na temat dziedzictwa kulturowego. Wcześniej teren badawczy ograniczono do województwa gorzowskiego, ostatnio rozszerzono do regionu pogranicza. Niedawno ukazał się tom trzeci jako plon konferencji z ubiegłego roku. Redakcję naukową nad konferencjami i wydawnictwem pełnią panie Elżbieta Skorupska-Raczyńska i Joanna Rutkowska.

Tom po tytule „Dziedzictwo kulturowe regionu pogranicza” liczy blisko 400 stron i zawiera 31 artykułów, w tym kilka w języku ukraińskim. Rozumiecie więc Państwo, że wobec takiej oferty recenzent może tylko rozłożyć ręce w geście bezsilności. A jednak chcę uściślić, że konferencje organizuje Zakład Języka Polskiego i Pracownia Badań Historycznych PWSZ oraz Wyższe Seminarium Duchowne w Paradyżu. Jednego dnia obrady odbywały się w budynkach świeckiej uczelni, a drugiego – duchownej, właśnie w Paradyżu. Że brali w niej udział współpracujący z gorzowską uczelnią pracownicy naukowcy z Nancy we Francji i Iwano-Frankowska z Ukrainy. Wygłoszono 35 referatów z zakresu literaturoznawstwa, językoznawstwa, pedagogiki, psychologii społecznej, socjologii oraz innych dziedzin szeroko pojętej kultury. Że oprócz gorzowian efekty badań przedstawili naukowcy z Paradyża, Szczecina, Warszawy, Gdańska, Zielonej Góry, Siedlec, Poznań, Berlina i Kijowa.

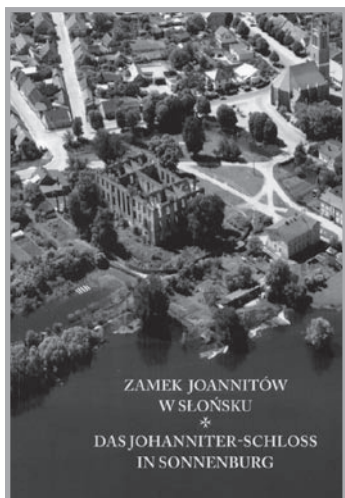
Teraz wymienię kilka tytułów wystąpień o najszerzym obszarze badań. A to: Jerzy Balbus – „Homo redivivus w regionach pogranicza”, Arkadiusz Kalin – „Kultura pogranicza w internecie”, Wojciech Popielewski – „Biblia – pogranicze Boga i człowieka”, Małgorzata Mikołajczak – „Co zostało na dnie kulturowego tygla? Powroty do miejsc utraconych w twórczości najstarszego pokolenia lubuskich poetów”. Referat pani profesor Mikołajczak z Zielonej Góry łatwo pozwala mi przejść do tematów literackich. Teraz można przeczytać, a na konferencji mówili: Urszula Frymus o Chrście Wolff, Sławomir Iwasiów o Januszu Rudnickim, Wojciech Kuska o Wiesławie Myśliwskim, Jerzy Madejski o poezji Władysława Łazuki. Muszę dorzucić, że sama także włączyłam się do tej konferencji wystąpieniem o Sebastianie Grabowieckim, poecie pogranicza renesansu i baroku oraz Polski i Brandenburskiej, jako że był on opatem w Bledzewie.

Krótko mówiąc, plon konferencji o dziedzictwie kulturowym pogranicza to kopalnia wiedzy, tyle że z bardzo różnych dziedzin. Choć ta formuła nie ułatwia lektury, jednak sprawia, że książka może zainteresować rozlicznych badaczy, a także miłośników regionu.

Zamek joannitów w Słońsku

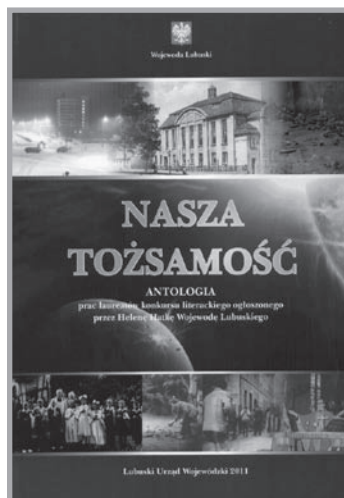
W Słońsku straszą dziś ruiny dawnego zamku joannitów. Zachowane mury zatrzymały jego wielkość, ale nic nie pozostało z dawnego uroku i znaczenia dla kultury. Zamek spłonął 4 października 1975 r., w trakcie remontu. Zniszczenia były tak duże, że nie podjęto naprawy. Obiekt nie ma dachu, wewnątrz też jest zrujnowane, więc wejście po prostu zabito deskami. Co zrobić z zamkiem? Remont wymaga dużo pieniędzy. Brakuje również pomysłu na wykorzystanie tak dużej kubatury. Po co wsi tak kosztowny obiekt? A przecież stanowi on swoisty wyrzut sumienia. Niedawno gmina zorganizowała konferencję naukową na temat tego pałacu oraz zleciła przygotowanie dokumentacji zabezpieczenia ruiny.

Właśnie z okazji tej konferencji ukazała się książka Błażeja Skazińskiego zatytułowana „Zamek joannitów w Słońsku”. To pierwsza taka publikacja w sposób zwarty ukazująca historię, walory architektoniczne i dawne wyposażenie zamku. Choć zamek istniał wcześniej, po zniszczeniach wojny 7-letniej odbudowano go w latach 1661-1668. Baliwem, czyli najważniejszą osobą w tym rycerskim zakonie, był Jan Maurycy Nassau-Siegen, książę o niderlandzkich korzeniach, wybitny wojskowy, administrator i dyplomata. To on decydował o barokowym wyglądzie pałacu, on zatrudniał najlepszych niderlandzkich budowniczych. Mielśmy więc zabytek sztuki europejskiej najwyższej klasy. Do zakonu joannitów wstępowały bogaci przedstawiciele rodów rycerskich. W XIX wieku, żeby udokumentować swoją pozycję społeczną, trzeba było być członkiem tego świeckiego zgromadzenia. A bogaci ludzie łożyli na siedzibę swojego zakonu, najważniejszą w całej Brandenburgii. Na przykład każdy wstępujący przekazywał swój herb malowany na desce i pięknie oprawiony. Na ścianach reprezentacyjnej klatki schodowej wisiało 1150 takich tablic herbowych. Dziś mamy ich zaledwie dziesięć. Zachowało się tylko kilka portretów z kolekcji przedstawiającej baliwów tego zakonu od XV wieku i to nie u nas, a w muzeach Warszawy. W archiwum w Nowym Kisielinie są dokumenty ze słońskiego archiwum joannitów, które szacuje się...na 10 procent dawnego zespołu. A zamek ten w okresie wojny nie był nawet drażnięty. Przejęliśmy go (my lub Rosjanie) z pełnym wyposażeniem. Jego dewastacja to dzieło lat powojennych. Przykro o tym czytać i mnie o tym mówić. Dlatego bardzo dobrze, że książka Błażeja Skazińskiego dokumentuje znaczenie tego zabytku. Książka jest dwujęzyczna: po polsku i po niemiecku, a w części końcowej prezentuje bogaty zestaw zdjęć, przede wszystkim z lat przedwojennych, ukazujących zamek i uroczystości, które odbywały się wokół niego.



ZAMEK JOANNITÓW
W SŁOŃSKU
*
DAS JOHANNITER-SCHLOSS
IN SONNENBURG

Nasza tożsamość



W dwóch kolejnych latach – 2009 i 2010 pani wojewoda Helena Hatka ogłaszała konkursy literackie. To nie pomyłka, właśnie literackie, tyle że tematycznie związane z wydarzeniami historycznymi. Pierwszy konkurs dotyczył tzw. Wydarzeń zielonogórskich z 1960 roku, drugi – strajków po wprowadzeniu stanu wojennego w byłym województwie gorzowskim w grudniu 1981 roku. Najlepsze prace ukazały się niedawno

w książce pod tytułem „Nasza tożsamość”. Miły to ukłon – co podkreślałam w równorzędym traktowaniu Zielonej Góry i Gorzowa.

Ale ja nie będę taka układna i zajmę się tu wyłącznie drugą częścią książki, czyli Gorzowem. Dwa równorzędne pierwsze miejsca otrzymali Norbert Lis i Zbigniew Bodnar, trzecie miejsce Marek Stachowiak, a wyróżnienie Wojciech Jachimowicz. Trzej laureaci nagród osobiście brali udział w strajkach i zapisali swoje wspomnienia. Norbert Lis i Marek Stachowiak ze strajku w Ursusie, Zbigniew Bodnar – w Stilonie. Wyróżniony Wojciech Jachimowicz nie uczestniczył w strajkach i dlatego na tamte wydarzenia spojrzął z perspektywy lat.

Są takie daty, które zawsze się pamięta przez pryzmat własnych przeżyć, nawet jeśli nie uczestniczyło się w tamtych wydarzeniach. Z ostatnich lat to 11 września 2001 roku, kiedy zburzono nowojorskie wieże. Wcześniej w Polsce 13 grudnia 1981 roku, dzień wprowadzenia stanu wojennego, jeszcze dawniej – 1 września 1939 r. – początek wojny. Takie daty oddziałują na indywidualne i zbiorowe losy, jednoczą ludzi, budują naszą tożsamość. Właśnie uświadomieniu tej wspólnej tożsamości służyły konkursy ogłoszone przez panią wojewodę. Lektura trzech nagrodzonych upewnia mnie, że cel ten został osiągnięty. Bo choć sama – jak zdecydowana większość mieszkańców Gorzowa – w strajkach tych nie uczestniczyłam, wiem, że dzisiejszy nasz świat zrodził się właśnie tam. Wspomnienia pokazują, jaką indywidualną cenę płacili uczestnicy, jaką walkę toczyła w nich świadomość, że trzeba stawić opór, z obawą o los nie tylko własny, ale swojej rodziny. Przeciwnik był silny, miał władzę i broń, a plotka jeszcze bardziej wyolbrzymiała jego przemoc. Chwała więc tym, co się nie ułękli.

Wspomnień w zasadzie nie zalicza się do literatury pięknej, jako że w nich ważniejsze są fakty i inne realia. Tymczasem nagrodzone prace, śmiało można nazwać literackimi. Ówczesne przeżycia były tak silne, że do dziś żywa jest pamięć tamtych emocji, a emocje to już sfera literatury. Trzeba spisywać takie wspomnienia. I trzeba je czytać. Polecam więc Państwu „Naszą tożsamość”, wspólną zielonogórską i gorzowską, choć zrodzoną z innych wydarzeń.

Tadeusz Kramek

Moje miasto
Kostrzyn

Pamiętacie piosenkę Jonasza Kofty „Śpiewać każdy może” w znakomitym wykonaniu Jerzego Stuhra? Uczy ona, że może, nie oznacza, że powinien, a nawet że nie wolno iść z takim śpiewem do ludzi. Przypomniała mi się ta piosenka przy okazji lektury wierszy Tadeusza Kramka „Moje miasto Kostrzyn”. Bo pisać też każdy może. Niech więc sobie Tadeusz Kramek pisze wiersze, niech czyta rodzinie, ba, przy współczesnej technice nawet niech sobie wydrukuje książkę i rozdaje znajomym. Ale jeśli pod książką podpisują się dwie szacowne instytucje, mam prawo oczekiwać publikacji na odpowiednim poziomie literackim. Wydawcami tej książki są Urząd Miasta Kostrzyn nad Odrą oraz Miejska Biblioteka Publiczna w Kostrzynie. W stopce nawet podano nazwiska dwóch pań, które z ramienia swoich firm odpowiadają za tę publikację, ale tu im odpuszczę.

Na okładce w rekomendacji tomu czytamy, że Tadeusz Kramek pokochał Kostrzyn nad Odrą miłością trwałą i odwzajemnioną. I bardzo dobrze. Każdy z nas ma, a przynajmniej powinien mieć, swoją małą ojczyznę, z którą czuje się emocjonalnie związany. I każdy może sobie o tym pisać. Nawet wiersze. Ale publikacja książki to już całkiem inna sprawa. To, co nam oferuje Tadeusz Kramek nawet nie leżało blisko prawdziwych wierszy. Po prostu nie ma to nic wspólnego z poezją. Ale może panie odpowiedzialne za projekt, sferą sztuki się nie parają i nie potrafią ocenić wierszy? Muszą natomiast wiedzieć, że bzdury propaguje pan Kramek pisząc w wierszu „Książę Jan Kostrzyński”: Książę Jan był radosny i hojny, bronił naszej ziemi, z Germanami prowadził stale wojny. Przecież książę Jan był Hohenzollernem, księciem germańskim, a nie polskim. Tego mógłby się piewca kostrzyńskiej ziemi nauczyć. I jeszcze. Wyraszy hojny napisany jest tu przez ch, a nie jak nakazuje słownik ortograficzny przez samo h. I znów: pan Kramek może sobie pisać jak chce, nawet nieortograficznie, natomiast wydawcy nie wolno dopuścić do druku książki z licznymi, jak tu, błędami ortograficznymi.

Nie mam serca dalej znęcać się nad tą książką, a mogłabym jeszcze bardzo długo. Naprawdę nie jest wystarczającą podstawą do wydania tomu wierszy podziękowanie złożone przez autora panu burmistrzowi, panu przewodniczącemu Rady Miasta i pani sekretarz miasta. Jeśli panie z Urzędu i z biblioteki nie czują się na sile, by ocenić takie wiersze, niech zasięgną opinii osób kompetentnych. To nie jest cenzura. To jest dbanie o wizerunek miasta. Bo tomik „Moje miasto Kostrzyn” kompromituje to miasto. I to kompromituje za własne, a raczej podatników pieniądze. Świadomie o pieniądzach mówię na końcu, bo wydanie takiej książeczki nie kosztuje drogo. I to nie jest znacząca dla miasta strata finansowa. To utrata prestiżu. Wartości, którą buduje się długo i z móżdżem. A traci się szybko. Nawet przez tylko cienką książeczkę.

Na zakończenie jedyna pochwała: dla wykorzystanych tu zdjęć Tomasza Kulika i koncepcji graficznej, pod którą podpisała się gorzowska drukarnia Sonar.

Krystyna Kamińska

Godne życie

Środowisko gorzowskich pedagogów przypomniało piękną osobowość nauczycielki Teresy Kostrzewskiej-Przanowskiej. Urodziła się w Radomiu 5 lutego 1897 roku. Jako mieszkanka Grodna przeżyła Rewolucję Październikową. W czasie I wojny światowej pracowała w Moskwie, w Centralnym Komitecie Obywatelskim Królestwa Polskiego, który zajmował się łączeniem polskich rodzin rozrzuconych na terenie Rosji. Dane jej było poznać Stanisława Wojciechowskiego, późniejszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Józefa Piłsudskiego – naczelnika Państwa Polskiego, Elżbę Orzeszkową, Artura Górskiego – znawcę literatury młodopolskiej, także ojca Maksymiliana Kolbego, który był jej spowiednikiem.

W czasie II wojny światowej pełniła służbę żołnierską. Od 1940 roku działała w Armii Krajowej. Redagowała konspiracyjną prasę. Prowadziła tajne nauczanie. Była szefem sztabu Biura Informacji i Propagandy. Zadania konspiracyjne wykonywały także jej dwie córki: wtedy 12-letnia Jolanta i 11-letnia Krystyna. Wymuszona powojenna wędrówka ludów przeniosła ją z mężem i córkami na Ziemię Zachodnią, do Skwierzyny. Aktywnością oświatową i kulturalną przyczyniła się do odbudowywania i normalizacji życia tego miasta.

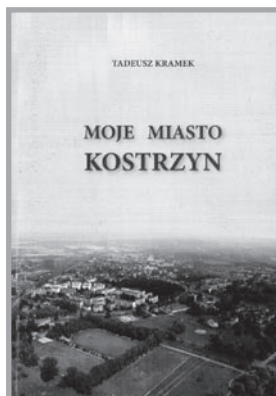
W 1951 roku przeprowadziła się, z rodziną, do Gorzowa, gdzie pozostała do końca swoich dni (zmarła 4 kwietnia 1988 roku). Przez 35 lat była polonistką w II Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących i w Liceum Korespondencyjnym; lubiana przez młodzież i dorosłych. Staraniem grupy gorzowskich pedagogów, regionalistów ukazała się serdeczna książka „Odejsz w milczeniu. Wspomnienia i wiersze Teresy Kostrzewskiej-Przanowskiej”, pod redakcją Anny Makowskiej-Cieleń (wyd. Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Gorzowie Wlkp. 2010, s. 44), zawierająca fragmenty wspomnień i wiersze, inspirowane doświadczeniami rodzinnymi, natury religijnej. Oto próbki tej twórczości:

(...) Czy ja coś zrobiłam dla Gorzowa? Pracuję w tym mieście inżynierowie, nauczyciele, lekarze, którzy byli moimi uczniami w liceum. Setki maturzystów, w których naukę wkładałam całą żarliwość mojego ciągle młodego serca, zajmują odpowiedzialne stanowiska, wykonują różne zawody. Często spotykam ich. Nikt mnie nie mija bez uśmiechu. Nikt mnie nie zapomniał... Fragmenty wspomnień pt. „Gody życia” opublikowano w tomie „Mój dom nad Odrą. Pamiętniki i wspomnienia mieszkańców Ziemi Lubuskiej”, Zielona Góra 1971.

W Twoim Sercu, tylko w Twoim, Panie / Ucieczka i schronienie, Spokój i szczęście / I najczystsze, najświętsze kochanie (...)

Książka zawiera Kalendarium życia T. Kostrzewskiej-Przanowskiej i wykaz posiadanych przez nią odznaczeń (m.in.: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Armii Krajowej, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Złota Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego, Odznaka ZNP za Tajne Nauczanie); 17 fotografii, 7 kopii dokumentów, świadectw, legitymacji.

Książka niesie przykład pracowitego, ofiarnego życia nieprzećiętej nauczycielki, która cało wyszła z dwóch wojen światowych. Jej działanie na rzecz innych ludzi daleko wykraczało poza pedagogiczną misję. Sama już nie powie nic, ale ci, którzy ją znali, osoby przygotowujące książkę, na spotkaniach np. z młodzieżą szkolną miałyby do przekazania ciekawe, pouczające refleksje, jak z edukacyjnego skarbcza.



Kiedy 17 czerwca br. w bibliotece odbywało się spotkanie braci literackiej z okazji promocji kolejnego numeru „Pegaza”, byłem 10. dzień w podróży, już na Łotwie. Zamierzałem przesłać zebranym w Książnicy serdeczne pozdrowienia i dowody pamięci z rowerowego „Pegaza”, ale zawiodły łącza sieci komórkowej.

Nasza (piszę też w imieniu **Marka Skrobańskiego**, z którym podróżowałem) wyprawa trwała 24 dni (8.06 – 1.07. br.).Przejechaliśmy prawie 2500 km, odwiedziliśmy: Białystok, Augustów, Kłajpedę, Rygę, Tallinn, Tartu, Zarasai, Wilno, Troki, Kowno, Suwałki.

Ponad 600 razy naciskałem spust migawki aparatu fotograficznego, czterokrotnie zmieniałem dętkę w kole, wydlubałem dwa kleszcze i uśmierciłem (niestety) wiele komarów. Wrażenia wciąż świeże i żywe.

Wszystkie raczej pozytywne. Przed laty odbywałem podobną podróż, ale samochodem. Jakże bogatsze są wrażenia, kiedy trasę pokonuje się rowerem, zmagając się z wiatrem (najgorszy wróg cyklisty), deszczem, chłodem, małymi defektami czy kontuzjami.

Trasa wiodła głównie drogami ruchliwymi, te bowiem posiadały pobocza (niekiedy trzymetrowe) oddzielone ciągłą, białą linią. Mimo mijających nas TIR-ów czuliśmy się bezpiecznie. Na drodze (to znana Via Baltica) liczni motocykliści, zakuci w skóry i kaski, z Niemiec, Danii czy Szwecji. Każde z tych państw, nie wyłączając Polski, w swej wielowiekowej historii, dłużej czy krócej, panowało na tych terenach. Widać to wyraźnie na szacownych zabytkach Kłajpedy, Rygi, Tallinna, Tartu, a Wilno i Kowno nadal nasycone polskimi śladami.

Nie zamierzam opisywać wrażeń z każdego przejechanego kilometra, z miast i miasteczek, które mijaliśmy (mógłbym, prowadziłem codzienne zapiski z trasy). Wymienię jedynie te miejsca, które szczególnie zapisały się w pamięci. Zanim, chcę pochwalić drogi z owymi wydzielonymi pasami czy asfaltowymi (!) ścieżkami rowerowymi. Tak było na Litwie, Łotwie i w Estonii. Najgorzej, niestety, wypada w tych porównaniach Polska, gdzie wciąż z uporem maniaka buduje się ścieżki z polbruków (vide Gorzów). Miło było na trasie spotykać rowerzystów (często Polaków), ludzi życzliwych, nieodmawiających pomocy czy informacji, jak choćby przed Trokami ów właściciel sklepu rowerowego, który wymienił mi pękniętą szprychę w kole. Nie byłoby w tym nic niezwykłego (wszak to sklep z serwisem), gdyby nie fakt, że w moim Whellerze owa szprycha była nietypowa i właściciel kramu pojechał do swego garażu, by wymontować pożądaną część z jakiegoś poniemieckiego roweru. Albo ów kurier przesyłek (rowerowy), który wyprowadził nas z sieci zawitych ulic Rygi w kierunku Tallinna, albo owa rodzina estońska, handlująca warzywami w przydrożnym kramie, którego podcień, przed przyjazdem właścicieli, zaanektowaliśmy, by zagotować wodę na herbatę. Na odjeździe obdarowano nas paczuszkami z zielonym groszkiem. Na każdym opakowaniu naklejka z ceną: 3 euro.

Wracam na trasę. Kłajpeda powitała nas słońcem, ale wietrzną pogodą. Miasto, zarówno stare jak i nowe, robi duże wrażenie. Czyste, zadbane, bez chaosu reklam i pomazanych murów. Stąd promem przepływamy na osławioną Mierzeję Kurońską (vel Neringa). Nad zatoką urokliwe miasteczko o tej nazwie. Od strony morza rozległe, puste plaże, wydmy, powykręcane sosny... i ta malownicza ścieżka rowerowa (asfaltowa!), która wije się na całej długości mierzei. Nocujemy na wydmach (sza!) pod



Troki

(będący w Rydze przejazdem) na nasz widok (Polaków w słusznym wieku) trzykrotnie krzyknął: kocham was. To wyraz aprobaty. A potem, jak najdłużej wzdłuż Zatoki, do Estonii z niezwykłym Tallinnem. I tu wjechaliśmy w pelerynach. Pamiętam intensywny zapach kwitnących bzów (w moim Santoku pachniały już w kwietniu).Była niedziela. Na ulicach wielu turystów. Przepiękna starówka ze wzgórzem zamkowym, licznymi kościołami i urokliwymi uliczkami. Na murze przy dwuwieżowej bramie okazała tablica w języku polskim opisująca losy polskiego okrętu ORP – Orzeł z drugiej wojny światowej. Nocujemy (po raz pierwszy) w hoteliku (Tartu 31) w starym, jednopiętrowym domu z XIX w. za 12 euro (ze śniadaniem), blisko starówki ale w otoczeniu szklanych wieżowców (hotele, biura). Ogromnie wiele wybudowano tu od mego poprzedniego pobytu, kiedy jechałem na Nord Camp.

Od Tallinna już odwrót. Przejedziemy te kraje w przeciwnym kierunku i już daleko od morza.

Na trasie piękne Tartu, drugie co do wielkości miasto Estonii. Miasto wielu uczelni, w tym Uniwersytetu pamiętającego czasy Stefana Batorego. Należało przez prawie 40 lat do Rzeczypospolitej (przełom XVI i XVII w.) Wyraźnym znakiem obecności tu ongiś Polaków jest białe - czerwona flaga, która powiewa na Ratuszu i większości gmachów publicznych. Dużo młodzieży, kwiatów, słońca (wreszcie).

Jedziemy w stronę Łotwy. Zdecydowanej płasko z zielonymi polami i lasami. W zasięgu wzroku pojedyncze, szare małe zabudowania. Żadnych wież, bicia dzwonów, tak typowych w polskim pejzażu Suwalszczyzny. Po drodze Aluksne z dużym, klasycystycznym kościołem (w remoncie), potem Rozehne z wieloma socrealistycznymi budynkami. Zaskakuje ogromny, biały krzyż na równie ogromnym rondzie przy wyjeździe z miasta. Potem zadbane Zarasai i już Litwa. Na liczniku wyskakuje 2000 km. Stąd do Wilna niecałe 200. Pola z rzepakami i facelią barwią się w słońcu. Widać zaprzęgi konne i pięknie zdobione krzyże i kapliczki. Bardziej swojsko, polsko.

Do Wilna przyjeżdżamy w niedzielę, koło południa. Miasto obchodzi święto Bożego Ciała. Od katedry św. Stanisława w kierunku Ostrej Bramy idzie barwna procesja. Posuwamy się za nią z rowerami, ciesząc się klimatem tego święta, choć nie było tłumów, tak typowych w polskich procesjach. Zauważam brak duchownych obrządku prawosławnego (!?).

Procesja kończy się pod Ostra Bramą. Fragment kazania jest też po polsku.

Gdybym chciał opisać przeżycia tylko z Wilna, nie starczyłoby miejsca w wydaniu tego „Pegaza”, bo samo spotkanie z siostrą Michaelą w założonym Domu Sióstr Zgromadzenia Jezusa Miłosiernego (dom generalny jest

gwiazdami, słysząc morze i odgłosy ptaków.

Do Rygi wjechaliśmy w deszczu. Starówka tego szacownego miasta nie jest zbyt rozległa. Odwiedziliśmy najciekawsze obiekty. Zaskoczeniem był ogromny dźwig budowlany ustawiony na placu Starego Miasta. Z jego ramienia zwisała, na dużej wysokości, platforma - restauracja na kilkanaście miejsc konsumpcyjnych. Goście przypasani do siedzeń, kelnerzy już nie. Przyjęcie na wysokości trwało około godziny. Nie pytałem o cenę. Jakiś Warszawiak

w Gorzowie) to opowieść godna książki. Dom z siedmioma siostrami (w tym jedna Czeszka, jedna Litwinka) funkcjonuje od ponad dwóch lat. Budowane Hospicjum ruszy zapewne (znając upór i zaangażowanie Siostry) już we wrześniu. Na razie funkcjonuje tzw. hospicjum domowe. Obecność ludzi z Gorzowa wyraźnie ucieszyła s. Michaelę. Karmiła i poiła nas smacznie i obficie, oddała do dyspozycji pokój i łazienkę i mimo nawału zajęć poświęciła nam sporo czasu. Ba, oddała do dyspozycji „swoją” (wszak to zakon), a otrzymaną też w darze na potrzeby Hospicjum, Toyotę Rav. Wolontariusz Ludosław z polskiej rodziny, na co dzień zawodowy siatkarz, poświęcił nam niemal cały dzień, obwożąc po mniej znanych zakątkach miasta wymienionym samochodem. Po raz pierwszy byłem na pięknie zadbanym cmentarzu na Anopolu, gdzie tak wiele grobów polskich żołnierzy. Pięknie wyeksponowano półkolem groby 17 ofiar litewskiej transformacji w czasie walk o gmach telewizji. A potem kolejny cmentarz – muzeum w podwileńskich Ponarach, gdzie w latach 1940 - 44 zginęło z rąk faszystów i sympatyzujących z nimi Litwinów 100 tysięcy (sic!) ludzi, głównie Żydów i Polaków. Pokazał nam również urokliwe podwileńskie sioła z drewnianymi zabudowaniami, a na końcu zawiózł nas (to sugestia Siostry) do znanego ośrodka – skansenu powstałego na bazie starych młynów wodnych na rzece Wilejce. Ogrom tu atrakcji. Mimo dnia powszedniego zadziwia ilość samochodów i turystów. Nazajutrz (jest już wtorek) żegnamy się z tym szczegó-

nym miejscem i s. Michaelą. Obiecałem podarować Domowi drogę krzyżową, która zawiśnie na murze więziennym. Oddziela on teren Domu Zgromadzenia. Sterczy jeszcze nad murem wieża strażnicza. Za murem barokowa kopuła kościoła, który jeszcze do niedawno był więzieniem (sic!). Jeszcze tylko zapalamy znicz przy grobach polskich żołnierzy przy cmentarzu Na Rossie.

Jest słońce, wreszcie z wiatrem. Ruchliwą trasą jedziemy do Trok z domami Karaimów i zamkiem Witolda na wyspie. Stąd na Kowno. Nocujemy nad jeziorem przed miastem, by nazajutrz zwiedzić ostatnie już, a znaczące miejsce Litwy. Miejsce, jakże mocno naznaczone polskimi nazwiskami, i tym najważniejszym – Adama Mickiewicza. Zaraz po studiach mieszkał tu cztery lata, choć nie umiał pokochać tego miejsca. Tęsknił za wielkim Wilnem.

Dostrzegam liczne, choć niewielkie bilbordy na kościołach z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego według wskazań s. Faustyny i napisem w j. litewskim: „Jezau pasitikiu Taviam”. Czy to również dzieło siostry Michaeli (!?).

A potem już Marianpol, Kalvarija... i Polska, piękna, nasza, choć ze ścieżkami z polbruku lub żadnymi. Ale bociany były dorodniejsze i były dzwony na Anioł Pański. To była wspaniała wyprawa.

Gąsior

Korsak wśród myśliwych

Włodzimierz Korsak, jeden z pierwszych pisarzy związanych z Gorzowem, członek-złożyciel lubuskiego Oddziału Związku Literatów Polskich w 1961 r., był także myśliwym, propagatorem kultury myśliwskiej, orędownikiem ochrony przyrody.

Pamięć o tym nestorze sztuki łowieckiej kultywowana jest w kręgach myśliwych zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim. W ostatnim czasie odsłonięto dwa kamienie oraz pomnik dla upamiętnienia Włodzimierza Korsaka. Jako pierwszy – duży kamień obok mostu na Lubniewce na terenie rezerwatu Janie im. Włodzimierza Korsaka wystawili myśliwi z Okręgu Gorzowskiego.

20 sierpnia br. obok leśniczówki Mszaniec w gminie Kłodawa odsłonięto kamień upamiętniający letnie pobyty w tej leśniczówce Włodzimierza Korsaka w latach 1962-1967. Inicjatorami ustawienia kamienia byli Nadleśnictwo Kłodawa i Koło Łowieckie „Leśnik”. Duży tekst na ten temat na stronie koła – www.kololesnik.szu.

Jeszcze bardziej uroczyście, bo z udziałem myśliwych całego regionu gorzowskiego, odsłanianio pomnik Włodzimierza

Korsaka w gorzowskim parku na Górczynie. W odsłonięciu uczestniczyło wiele osób, w tym rodzina, myśliwi i licznie zgromadzeni mieszkańcy, a także 50 pocztów sztandarowych kół łowieckich, nadleśnictw i szkół. Rzeźba naturalnych rozmiarów przedstawia przyrodnika ubranego w myśliwski strój, siedzącego na trójnogu. Włodzimierz Korsak trzyma w rękach lornetkę, a obok niego siedzi pies myśliwski. Autorem jej jest rzeźbiarz Andrzej Moskaluk, mieszkający w podgorzowskim Deszcznie.

Inicjatorem budowy pomnika był Władysław Sobków, myśliwy z Gorzowa. Poparł go członkowie Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej, także inni myśliwi, leśnicy, nadleśnictwa i lokalni przedsiębiorcy. Honorowemu Komitetowi Budowy Pomnika przewodniczył wicewojewoda lubuski – Jan Świrępo. Odsłonięcie miało miejsce 22 września, w 23. rocznicę śmierci Włodzimierza Korsaka.



Krystyna Kamińska

Wakacyjny dzienniczek poetycki!

1-3 lipca

Wakacje rozpoczęły się 1 lipca na PIKNIKU POETYCKIM w Borach Tucholskich. Miejsce piękne – w okolicy sporo atrakcji: „Uroczysko Piekiełko”, akwedukt w Fojutowie, który jest jedną z pierwszych budowli hydrotechnicznych tego typu w Polsce nawiązującą ideą do akweduktów rzymskich – został zbudowany przez wojska Napoleona.

Dni Gostycyna w Wielkim Mędromierzu.

Adam Ziemianin jako główny gość.

Warunki piękne, jedzenie aż nadto dobre – pstrągi wędzone palce lizać. Niestety, nie dopisała pogoda. Siąpiąco, zimnawo – za mało słońca dla obiektywu. Na szczęście ludzie z gorącymi głowami, świetnymi wierszami. W ramach piknikowania przeprowadzono Otwarty Konkurs Poetycki.

Jurorzy pod przewodnictwem Adama Ziemianina przyznali nagrody: miejsce pierwsze – Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, dwa równorzędne miejsca drugie – Kacper Plusa z Pabianic i ja z Gorzowa. Poza tym odbyła się promocja książek poetyckich wydanych w latach 2010-2011. Była to zabawa polegająca na przygotowaniu prezentacji książki jako produktu. Jedni się przebrali, inni mieli potrzebne rekwizyty. Pomysłowo, choć nie do końca zgodnie z oczekiwaniem kapituły. Te zmagania wygrała Alicja Podlas za prezentację książki „Moje pióro upija się na smutno”.

Nagrody rozdano w trakcie festynu Dni Gostycyna – przy fanfarach, biesiadnych stołach, piwku i deszczu. Kosze tamtejszych specjalistów, oprawione grafiki i fotografie wyjechały z Borów Tucholskich w różne części Polski. Główna organizatorka Barbara Kołomyjska-Kasica stawiała na głowie, by poeci byli zadowoleni. No i jej się udało.

Na pożegnanie swoje wiersze zaprezentował dla nas Adam Ziemianin. Opowiedział też o swoich początkach. Okazało się, że do poezji przyszedł przez Kochanowskiego pieśni kościelne. I wtedy świadomie założył sobie, że jeśli pisać – to tylko prosto, zrozumiale dla wszystkich.

8 lipca

Mikołów wzywa. Kolejna „Arkadia” Pismo Katastroficzne – gotowa (nr 27-28/2010). Wśród opublikowanych autorów: Marcin Bies, Jerzy Suchanek, Marek E.K. Baczewski, Wojciech Brzoska, Natalia Kania, Justyna Kałuża, Roman Kaźmierski, Hanna Dikta. Kto może – stawia się.

Więc i ja jestem – skoro w „Arkadii” znalazł się mój poemat GENY. POCZĄTEK I KONIEC. Poemat nagrodzony dwa miesiące wcześniej na konkursie „Granitowa Strzała”. Ważny dla mnie tekst, więc i promocja ważna.

Spotkanie prowadzą, jak zwykle, Maciej Melecki i Krzysztof Siwczyk. Goście czytają, żartują, dobrze się bawią. Dla mnie to daleka droga – ponad 400 kilometrów, ale równocześnie możliwość odwiedzenia przyjaciół na Śląsku i choćby przenocowania u jednej z najlepszych polskich poetek Gali Jakubowskiej-Fijałkowskiej. Wracam uskrzydłona z całą torbą „Arkadii”.

4-7 sierpnia

Ogólnopolskie Spotkania Poetyckie Charzykowy – Chojnice dla mnie już po raz czwarty w wakacje. Ubolewam jedynie, że są w tym samym czasie co kostrzyński Woodstock, bo i tam co roku bywam.

Tym razem jednak nie da się być jednocześnie w dwóch miejscach, zwłaszcza że na Nocy Poetów w chojnickiej fosie – przypadła mi rola jednego z gości. Obok poetów: Wojciecha Kassa, Pawła Szydła i Grażyny Wojcieszko – także ja. Zobaczyć swoje nazwisko na plakacie, na którym również jest gość specjalny Ernest Bryll i aktorzy: Jerzy Zelnik, Anna Romantowska i Halina Rowicka – to wielkie przeżycie. Sam występ to już inna historia. Słońce, ludzie w fosie, oklaski. Warto było. Jednak największe wrażenie robi na mnie – Mirosław Czyżykiewicz. Jego śpiew, jego konie Wysockiego niosą wielu, a mnie przede wszystkim. Kto nigdy nie widział Czyżykiewicza na żywo, nie wie co to jest prawdziwy koncert.. Co do samych warsztatów – zabawa świetna. Płyniemy statkiem, są żaglówki, dyskoteki, indywidualne konsultacje z W. Kassem i P. Szydłem, zajęcia z „Haiku” prowadzone przez Piotra Szczepańskiego, wieczorek poetycki młodego Kacpra Plusy. Jest również konkurs „O Srebrny Kluczyk”, tym raze dla mnie I wyróżnienie. Główny laur „Srebrny kluczyk” przypadł Agnieszce Tomczyszyn-Harasymowicz z Głuchołaz.

Beata Patrycja Klary

Laureaci Konkursu Literackiego im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie

I nagroda: Piotr Jemiolo

II nagroda: Urszula Gulbacka

III Nagroda: **Beata Patrycja Klary z Gorzowa**

Wyróżnienie: **Karol Graczyk**

II WARTAL w Gorzowie

Laureaci Gorzowskiego Festiwalu Poezji WARTAL:

Konkursu Jednego Wiersza – Agnieszka Moroz,

W slamie: I m. Gienek Konieczny, II m. Sławomir Płatek.

Jury: Joanna Mueller, Karol Graczyk i Roman Honet.



Nadeszła niedziela, a z nią? Żadnych konkretnych planów... sama w wielkim mieście. Dzieci korzystają z ostatnich wakacyjnych dni... i bardzo dobrze, bo od września w gimnazjum, a to już nie przelewki. Może by pojechać na giełdę? Tak jak kiedyś z Horstem? Wtedy był to prawdziwy jarmark staroci, a tutaj jest giełda, na której można kupić wszystko! Albo prawie wszystko. Zapowiada się upalny dzień, ale zdecydowałam się, pojedę! Pospaceruję, pooglądam, może zauważę i kupię coś interesującego? Dwa autobusy (konieczna jest przesiadka) wiozą mnie ku wspomnianej giełdzie. Drugi jest wypełniony pasażerami po brzegi, ale znajduję wolne miejsce i już widzę, że będę musiała spędzić pół godziny w dusznej atmosferze. Nie mam na myśli czystości powietrza, ale konieczność łowienia uszami rozmowy, jaką prowadzą nad moją głową dwaj, markowo ubrani, niepełnoletni mężczyźni. Relacja dotyczyła Anki, która wypila w sobotę dwa drinki i już była naje... (nie chodziło o – najedzona), a sobotni wieczór był kur... spędzony bardzo sensacyjnie. Przede mną stał mały, może 6-letni chłopiec z matką i babcią, zasłuchany w opowieści starszych chłopaków. Gotowało się we mnie, bo na wulgaryzmy jestem szczególnie uczulona. Poprosiłam grzecznie, by przestali. Udało mi się, opowiadali ciszej.

Słońce już przygrzewało, gdy ludzie wysypali się z autobusu i rozeszli wśród straganów.

Idę więc za nimi, przeciskam się między stojakami z kolorowymi ciuchami na sprzedaż i słyszę: — „Kurwa... całe klapki sobie w tym kurzu upierdole”. Teren jest piaszczysty, a dziewczyna w mini spódniczce i turkusowym topie z cekinami odsłaniającym brzuch ma na stopach odpowiedniego koloru japonki. Ogólnie widać, że turkus jest modny tego lata. Na stołach leżą stopy białizny made in China, ceny korzystne, ale przymierzcie nie ma gdzie, zresztą nie po to tu przyjechałam. — „Ale zabijście te kurteczki, zobacz!” Inna dziewczyna ciągnie chłopaka do stojaka z jesiennymi, skóropodobnymi, kolorowymi kurtkami. Moja i tak ładniejsza – myślę o tej, którą przywiozłam sobie z NY i zaczynam zaglądać do kartonów stojących na ziemi, wypełnionych porcelaną: wazonikami, kubkami, talerzami... i znajduję: wzór z fiołkami, z manufaktury Eschenbach, właśnie tego brakował mi do kompletu.

— Ile za ten talerzyk? Złotówkę? — Zaraz, zaraz muszę zobaczyć, bo jak KPM, to nie. Kobiłka podnosi się z krzesła i ogląda talerzyk – 2 złote. Może być, biorę. Jeszcze szklaną buteleczkę za złotówkę na piasek z plaży w Long Island i wędruję dalej. Robi się gorąco, ale ja mam chustkę na głowie i małą mineralną w torbie. Jakoś przeżyję, sama chciałam. Co bardziej warte, to u handlarzy i na stole, co mniej i taniej – na ziemi, na starym kocu lub prześcieradle. Zegar z Elvisem, talerzowy decoupage! Leży i aż prosi, aby go zabrać do domu. Nawet nie kiczowaty. — Ile? — Trzydzieści – słyszę odpowiedź. O nie, na taką cenę nikt mnie nie nabierze, chociaż biorąc mój wiek pod uwagę można sądzić, że jestem fanką Presley'a i udałoby się na mnie zarobić. Posyłam handlarzowi uśmiech i tylko tyle. Szkoda.

Zielona mucha, a nad nią brzęcząca osa nad stołem z kielbasą swojską, kaszanką i schabem pieczonym. Wszystko swojskie – zapewnia miła pani i ludzie kupują! Jak długo stoją już w dzisiejszym upale te wyroby? Jest kilka minut po 12, jeszcze trochę powalęsam się.

Ktoś kupił dużą, używaną kosiarkę do trawnika i ciągnie ją wznosząc tuman kurzu. — Ile daleś za nią? — wola ktoś znajomy. — Czterdzieści pięć! — Nie pierdol, to ja kurwa... w zeszłym tygodniu... itd. Nie słuchałam dłużej, ale prawdopodobnie zapłacił dużo więcej.

Jeszcze jeden rząd kartonów, stojaków, stolów i pojedę do domu. Znow porcelana, szkoda mi, że tak się niszczy. — Ile ten wazon? Pytam o biały, śliczny Arzberg (Bawaria). — 10 zeta, odpowiada mi koneser sztuki z złotym łańcuchem na szyi. — 8 – próbuję się targować. — Pani wie, co to jest? — Umieć czytać, ale zapytać można, nie? — Prowadzę z uśmiechem jarmarczny dialog z nadzieją, że handlarz zejdzie z ceny. — Kto pyta nie błądzi – przygaduje jego kolega. Daję 10 zeta i cieszę się.

Lubię szukanie drobiazgów, które podróżują w zakurzonych kartonach, wożone z giełdy na giełdę. Przedmioty, które kiedyś stały w kredensie lub na komodzie pieczęlowanie odkurzone w sobotę przed niedzielą. Ktoś komuś przyswoił kiedyś pamiętki z podróży...

Na jednym z ostatnich straganów kupuję torbę. Same „nówki”, bo lato się kończy, więc cena zadziwiająca, 15 złotych. Wybieram, prze-

bieram, w końcu decyduję się na żółtą perlową, nawet podszywkę ma w panterkę jak moja nowa kurtka. I w tym pełnym satysfakcji momencie widzę, że autobus w kierunku miasta właśnie odjechał. Następny mam za półtorej godziny, a ja jestem głodna i zmęczona. Niektórzy handlarze zwijają powoli stragany, ktoś dźwiga już z pewnością zimowe opony. Ostatnia okazja, by zająć miejsce na ławce pod straganem i kupić kawę w plastikowym kubku oraz pajdę wiejskiego chleba z podsmażonym mielonym, cebulką i kiszonym ogórkiem. Mam nadzieję, że po tej przekąsce moja wątroba nie odmówi posłuszeństwa, a w razie czego mam w domu Verdin. Właścicielka uśmiecha się, pyta czy smakuje. Muszę się pospieszyć, bo też zaraz zwijają swój interes. Obok kilku stołów stoi kosz na śmieci i karton na resztki chleba. Widzę bardzo dużo odpadów pysznego chleba i mam nadzieję, że ktoś nakarmi nim domowe zwierzęta, a nie wyląduje on w śmietniku. Kawa dokończona, dziękuję i przenoszę się na przystanek autobusowy. Jest zadaszony i ławka na szczęście też długa, bo już zaczynają schodzić się ci, którzy też nie zdążyli na poprzedni bus. W niedzielę, wiadomo, jeżdżą rządziej. Najpierw nadeszli młodzi z maluszkami we wózku. Ona nakarmiła go ze słoiczka, dała do popicia herbatkę, a potem rodzice zapalili po papierosie dmuchając bezmyślnie synkowi prosto w nos. Przyszła następna para, więc posuwam się na koniec ławki. Ona nawet ładna, rozczochrana, on ogołony na modną glację z puszką piwa w ręce. Usiadł, westchnął ciężko: — gorąco, kurwa... i zdjął koszulkę, ukazując cały tors w tatuażach drobnych, chińskich znaków. Dołączył do nich starszy mężczyzna i potoczyła się rozmowa jak z kabaretu. Glaca: — kurwa... rozpok mi się rozpierdala... i próbuje zapiąć spodnie. Starszy: — wolności potrzebuje, ha, ha i do rozczochranej: — nie dajesz mu? Rozczochrana śmieje się radośnie, susząc żółte ząbki. Glaca: — no co, trzy miechy nic, to się kurwa... pierdolić chce, nie? Starszy: — czemu aż trzy, gdzie byles? Glaca: — zapuszkowali mnie, kurwa... Policjantowi wyjechałem, bo się do mnie dopierdalał i tyle. Nie słuchając dalszego ciągu kryminalnej opowieści, zabrałam moje torby z ławki, kupiłam szybko kilogram pięknych, pachnących ogrodowym słońcem pomidorów na pobliskim straganie i pokiwalam głową słysząc, że wszystko będzie droższe, a chleb proszę pani, to nawet o 1,50 zł.

Dzięki Bogu, właśnie nadszedł autobus, nawet trochę wcześniej niż powinien. Idąc w stronę domu i mijając sportowy plac zabaw dla dzieci, usłyszałam: — podaj Kamil, dawaj tu, kurwa, do mnie! Chłopcy, może 8-letni, grali w piłkę na bramkę...

Nareszcie w domu. Wszłam pod prysznic próbując zmyć z siebie nie tylko kurz, ale cały niesmak mojej eskapady. A przecież szukałam tam wspomnień... Potem zrobiłam sobie mrożoną kawę, znaczy się mocną neskę z dodatkiem całej kostki waniliowego lodu. I popijając ją, zamysliłam się nad pewną audycją telewizyjną, którą prowadzi znany językoznawca prof. Miodek. Tego wydania audycji akurat nie oglądałam, ale moja koleżanka będąca polonistką i nauczycielką ojczystego języka w gimnazjum opowiadała mi, że w jednym ze swoich telewizyjnych programów prof. Miodek wypowiadał się o wyrazie „zajebisty”, iż nie jest to wyraz obsceniczny i zaliczamy go do tak zwanych liczmanów.

A liczman to wyraz lub wyrazy, których używamy, gdy mamy ubogie słownictwo i w rozmowach brakuje nam słów. To nie musi być wyraz wulgarny, może być np: prawda, eeeee, yyyyy, panie tego itd. Najczęściej jednak jest to: kurwa..., ja pierdole..., cholera... we wszystkich gramatycznych odmianach. I że nasza mowa potoczna, gdyby ją pozbawić tych paru wyrazów kur..., pier... itp. dla podkreślenia naszych uczuć, zdarzeń lub emocji, stanie się o wiele uboższa.

Nie chce mi się wierzyć: to Pan Profesor tak stwierdza czy popiera? Dla mnie są to wulgaryzmy nie do zniesienia, z którymi trzeba walczyć i z dniem dzisiejszym przestają lubić profesora. Moja koleżanka – polonistka zresztą podobnie.

A jeżeli zachwaszczenie mowy polskiej zatoczy jeszcze szersze kręgi i cała ta wulgarność słownictwa i obyczajów trafi w zaświaty?

Jeśli stanę kiedyś przed Niebieską Bramą, a św. Piotr zapyta mnie: po cholere! tu przysłaś, to co ja wtedy zrobię?

Na pytanie takiej Osobistości – odpowiedź prosta, sorry – Byłam zmuszona, bo nie znalazłam kur... innego wejścia!!!

Zbigniew Murawski

W naszej kuchni

A w naszej kuchni wydarzenie nie lada
Kucharzy natchnionych zjechały tabuny
No i się zaczyna spichcona biesiada
Stoły rozstawione siedzą goście tłumy

Pierwsze serwowane – mielone ozory
Dziczyzna rolowana w sosie rydzikowym
Baranina pieczona na podłożu z pory
Pulardy pikantne na rożnie węglowym

Póltuszka jagnięca mocno czosnkowana
Zamarynowane proste żury chłopskie
Prosiak co to w piecu czekał już od rana
Brązował spokojnie aż zasiądą goście

Legumina z burków kładziona na liście
Odgłębionej kapusty lekko zblanszowanej
Kartofel niezbędny zda się oczywiście
Okraszony zwykle mocno łzawym chrzanem

Pasztetu, kaszany, zrazu nie zabraknie
Ryjów odmóżdżonych odzianych w salate
Duże sumy zwędzone lekko, delikatnie
Wszystko dziś podane menu przebogate

Lista win jak zwykle wzbudza podniecenie
Każda z potraw swoje zachwała klimaty
Złym wyborom grozi niestrawności brzemię
Co może doprowadzić do zdrowia utraty

Zbigniew Murawski

Fraszki

Polityk

Dobry makijaż
Mu się marzy
Szczególnie kiedy
Jest bez twarzy

Cierpiący

Ciężko pokrzywdzony
Cierpi za miliony
Że miliony duże
Rzecz w prokuraturze

Dobra podstawa

Skończył budowę
Dużej willi
Na fundamencie
Małych szwindli

Wybredny

Francuski piesek
Mówili w rewirze
Nie skonsumuje
A tylko poliże

Ferdynand Głodzik

Denne zboczenie

Mama ryba, stara flądra,
by strzec córkę od zagłady,
doświadczona oraz mądra,
daje jej praktyczne rady.

Ukochana ma plastugo,
wszakże już nie jesteś larwą;
pragnę abys żyła długo;
spróbuj wiedzę tę ogarnąć.

Twe zboczenie plastugowe
sytuację ci upraszcza:
wywal na wierzch ciemną stronę,
by maskować się i splaszcząć.

Tam gdzie słońce blado świeci,
gdzie przebywa twa rodzina,
rzadko docierają sieci;
tego dna się zawsze trzymaj!

Żarcia szukaj tam, gdzie płytko,
brzuch napelniaj, gdy zmrok zapadł,
a tłusciutką będziesz rybką;
wtedy łatwiej się nachapać.

Nie daj nabrać się na plewy,
żyj spokojnie, dno pogłębiaj,
leż na boku raczej lewym,
zmieniaj kolor, czyli ściemniaj.

Dyskusjami nie kuś losu;
ród nasz wtedy przetrwa wiecznie;
ryby wszak nie mają głosu.
Na dnie zawsze najbezpieczniej.

Gorzów Wlkp. 18.06.2011 r.

Mirosław Wielgoliński

Coś na wybory

Ojciec matkę żynu-żynu
I wystrugał pięć murzynów
Pięć nagutkich murzyniełek
I to bajki jest początek

Baba Jaga piecyk miała
W którym dzieci przypiekała
A dla zmyłki, dla kaszany,
Miała domek lukrowany

Smok Wawelski, niebożatko
Dał się nabrać na jagniątko
Łasy był na smakolyki
I mu przepaliło grdyki

Ech, sierotka ta Marysia
Zapatrzyła się na pysia
Co szlachetne miał oblicze
I została, durna z niczem

Raz Dziewczynka z zapalkami
Podniecona wyborami
Zapaliła się na serio
Rozogniona słów mizerią

Wilk jest dobry a Kapturek
Na stojąco szczy na murek
Babcia waży i pakuje
A Gajowy lideruje

Moi drodzy przyjaciele
Teraz będzie bajek wiele
I do śmiechu i do trwogi
Takie są wyborcze drogi



Filharmonia Gorzowska